

**MARCEL  
PROUST**

UWIEŹIONA

Marcel Proust

**Uwięziona**

«Public Domain»

## **Proust M.**

Uwięziona / M. Proust — «Public Domain»,

Uwięziona to piąta część cyklu powieściowego W poszukiwaniu straconego czasu Marcela Prousta, ostatnia z przetłumaczonych przez Tadeusza Boya Żeleńskiego. Jej tematem są przeżycia głównego bohatera związane ze zrealizowaną wreszcie miłością do Albertyny. Zebrane wcześniej obserwacje dotyczące romansu Odety i Swanna czy Racheli i Roberta de Saint-Loup rzutują nieuchronnie na związek Marcela z ukochaną. Jej fascynująca niegdyś nieuchwytność staje się źródłem udreki. Doświadczenia sprawiają, że każdy gest Albertyny wydaje się Marcelowi symptomem wiarołomstwa i nie wiadomo, na ile podejrzenia zazdrosnego kochanka są uzasadnione. Pętla coraz bardziej się zaciska. On prześladowuje kochankę, ona znajduje coraz więcej przyjemności w mnożeniu dwuznacznych tajemnic.

## Содержание

Tom pierwszy	5
Rozdział pierwszy. Wspólne życie z Albertyną	5
Конец ознакомительного фрагмента.	52

# Marcel Proust

## Uwięziona

### Tom pierwszy

#### Rozdział pierwszy. Wspólne życie z Albertyną<sup>1</sup>

Od rana, z głową jeszcze obróconą do ściany, zanim sprawdziłem nad portjerami w oknach odcień smugi światła, wiedziałem już jaka jest pogoda. Powiedziały mi o tem pierwsze odgłosy ulicy, wedle tego czy dochodziły mnie stępione i spaczone przez wilgoć, czy też drgające jak strzały w dźwięcznej i pustej przestrzeni przestronnego, mroźnego i czystego ranka; z hałasu pierwszego tramwaju zgadywałem czy markoci się w dżdżu czy też pomyka w błękit. A nawet te odgłosy poprzedzał może jakiś szybszy i wnikliwszy fluid, który, wślizgnąwszy się poprzez mój sen, sączył weń smutek zwiastujący śnieg, lub też kazał jakiejś nieuchwytniej istotce intonować tak mnogie kantyczki na chwałę słońca, że w końcu budziłem się w fali oszałamiającej muzyki. Jeszcze nawpół uśpiony, zaczynałem się uśmiechać, zamknięte moje powieki przygotowywały się na blask.

W tym okresie odbierałem wrażenia życia zewnętrznego przeważnie ze swego pokoju. Bloch opowiadał, że kiedy przychodził do mnie wieczór, słyszał jakgdyby szmer rozmowy; ponieważ matka była w Combray, on zaś nie zastawał nikogo w moim pokoju, wyciągnął stąd wniosek, że ja rozmawiam sam ze sobą. Kiedy, o wiele później, dowiedział się, że Albertyna mieszkała wówczas u mnie, zrozumiał że ją chowałem przed wszystkimi i oświadczył, że wreszcie pojmuje, czemu w owej epoce nie chciałem nigdzie bywać. Omylił się. Rzecz zresztą bardzo naturalna; mimo iż łańcuch faktów jest konieczny, nie da się go jednak dokładnie przewidzieć. Poznając jakiś ścisły szczegół z cudzego życia, ludzie wyciągają natychmiast fałszywe konsekwencje i świeżo odkrytym faktem wyjaśniają rzeczy, które właśnie nie mają z nim nic wspólnego.

Kiedy myślę teraz, że Albertyna po powrocie z Balbec zgodziła się zamieszkać ze mną w Paryżu pod jednym dachem, że się wyrzekła morskiej podróży, że sypialnia jej była o dwadzieścia kroków od mojej, na końcu korytarza, w gabinecie mojego ojca, obwieszonym dywanami; że co wieczór, bardzo późno, zanim mnie opuściła, wsuwała w moje usta język – jak chleb powszedni, jak posilny pokarm, mający niemal świętość wszelkiego ciała, któremu cierpienia doznane z jego powodu użyczają w końcu jakiejś duchowej słodyczy – odtwarzam sobie natychmiast, przez porównanie, nie ową noc, którą kapitan de Borodino pozwolił mi spędzić w koszarach (co ostatecznie uleczyło mnie jedynie z chwilowego ucisku serca), ale noc, w której ojciec pozwolił mamie spać obok mojego łóżeczka. Bo życie, jeżeli się decyduje jeszcze raz wyzwolić nas z cierpienia, które zdawało się nieuniknione, czyni to w odmiennych warunkach, czasem wręcz tak sprzecznych, że niemal świętokradztwem jest podkreślać analogie!

Mimo iż w pokoju przed rozsunieniem firanek było jeszcze ciemno, dowiedziawszy się od Franciszki że nie śpię, Albertyna nie bała się robić nieco hałasu, kąpiąc się w swojej łaźience. Wówczas, zamiast czekać późniejszej godziny, szedłem często do sąsiedniej łaźienki, dość miłej. Niegdyś, dyrektor teatru wydawał setki tysięcy, aby usiąć prawdziwymi szmaragdami tron, na którym gwiazda grała rolę cesarzowej. Balety rosyjskie przekonały nas, że prosta gra światła, właściwie skierowana, stwarza klejnoty równie wspaniałe a rozmaitsze. Ale i ta dekoracja, choć bardziej

---

<sup>1</sup> *Uwięziona. Wspólne życie z Albertyną* – ten tom i następne aż do końca dzieła ukazały się po śmierci Prousta z pozostawionego przezeń rękopisu; tem samem brak jest tym częściom ostatniego dotknięcia ręki pisarza, który zwykł był dużo pracować na korektach. [przypis tłumacza]

odmaterjalizowana, nie jest tak urocza, jak efekty słońca, oglądane o ósmej rano w miejsce tych, które przywykliśmy oglądać wstając w południe. Aby nas ustrzec od niedyskretnych oczu, okna w obu łazienkach nie były gładkie, ale zmarszczone sztucznym i niemodnym szronem. I nagle słońce barwiło żółto ten szklany muślin, złociło go, i odsłaniając pomału we mnie dawniejszego młodego człowieka, którego długo skrywało przyzwyczajenie, upijało mnie wspomnieniami, tak jakbym był gdzieś wśród drzew, w cieniu złocących się liści, w których nie brakło nawet ptaka. Bo słyszałem Albertynę gwizdzącą bez przerwy:

Szaleństwem są, ach, cierpienia,  
Szaleńszy kto słucha ich...

Zbyt ją kochałem, aby się nie uśmiechać radośnie z jej złego smaku w muzyce. Piosenka ta zachwycała zresztą poprzedniego lata panią Bontemps; dowiedziawszy się niebawem, że to „tandeta”, przestała skłaniać Albertynę do zaśpiewania jej przy gościach, ale zastąpiła ją inną:

Pieśń pożegnania, ze źródeł zmaconych...

Ale z kolei i ta melodia stała się „starą katarynką Masseneta, którą ta smarkata kotłuje nam głowę”.

Przechodziła chmura, zaćmiewała słońce, wstydlive i gęste listowie szklane gasło i wsiąkało w szarość.

Za gotowalnię służyła Albertynie łazienka, którą mama, mając drugą w innej części mieszkania, nigdy się nie posługiwała, aby nie hałasować w pobliżu mnie. Przepierzenie, dzielące nasze gotowalnie, było tak cienkie, że myjąc się, mogliśmy rozmawiać: rozmowę przerywał jedynie plusk wody. Takie współżycie częste bywa w hotelu z powodu szczupłości mieszkania i sąsiedztwa pokoi, ale w Paryżu jest raczej rzadkie.

Czasem leżałem dłużej, marząc sobie dowoli, bo nie wolno było nikomu wchodzić do mojego pokoju aż zadzwonię, co, z powodu nieporęcznego umieszczenia dzwonka, wymagało tyle czasu, że często, zmęczony daremnymi próbami, rad że jestem sam, niemal zasypiałem na nowo. Nie znaczy to, aby poczucie obecności Albertyny było mi całkowicie obojętne. Oderwanie jej od przyjaciółek oszczędziło memu sercu nowych cierpień; utrzymywało to serce w spokoju, w bezwładzie, który miał mi pomóc do wyzdrowienia. Ale ten spokój, który mi dawała Albertyna, był raczej ukojeniem cierpień niż radością. Zapewne, pozwolił mi kosztować wielu radości, których nazbyt żywy ból wzbraniał mi wprzód; ale radości tych nie zawdzięczałem Albertynie. Już mi się prawie nie wydawała ładna, nudziłem się z nią, miałem wyraźną świadomość że jej nie kocham. Czułem się natomiast szczęśliwy wówczas gdy Albertyny nie było. Zwykle też nie kazałem jej wołać zaraz po przebudzeniu, zwłaszcza gdy ranek był piękny. Przez kilka chwil zostawałem sam na sam ze wspomnianą już wewnętrzną osobką, śpiewem pozdrawiającą słońce; wiedziałem, że mi da więcej szczęścia niż Albertyna. Z istot, które składają naszą osobowość, niekoniecznie te najjawniejsze są dla nas najważniejsze. I, kiedy choroba powali je wreszcie kolejno, pozostanie ich we mnie jeszcze parę, o życiu twardszem od innych; zwłaszcza pewien filozof, szczęśliwy jedynie wtedy, kiedy odkryje jakąś wspólność między dwoma dziełami, lub dwoma wrażeniami. Ale czasem zastanawiałem się, czy ostatnim ze wszystkich nie będzie mały człowieczek, bardzo podobny do tego, którego pamiętałem za szybą u optyka w Combray. Człowieczek ten oznajmiał pogodę i, zdejmując kaptur gdy świeciło słońce, nakładał go w deszcz. Znam egoizm tego człowieczka; mogę mieć astmę, którą uspokoiłby jedynie rześisty deszcz, ale on nie troszczy się o to; za pierwszemi tak niecierpliwie przezemnie oczekiwaniem kroplami, traci humor, naciąga markotnie kaptur. Przypuszczam w zamian, że w chwili agonii, kiedy wszystkie inne moje *ja* będą martwe, jeżeli błysnie promień słońca, gdy będę wydawał ostatnie

tchnienie, osóbką z barometru będzie się czuła bardzo rada i zdejmie kaptur śpiewając: „Och! nareszcie pogoda”.

Dzwoniłem na Franciszkę i sięgałem po *Figaro*. Szukałem bezskutecznie artykułu (o ile można to tak nazwać), który posłałem do tego dziennika; była to opracowana nieco a świeżo odnaleziona stronica, napisana niegdyś w powozie doktora Percepied pod wrażeniem wież w Martinville. Potem czytałem list od mamy. Mama uważała za dziwne, niewłaściwe, aby młoda panna mieszkała sama ze mną. Pierwszego dnia, w chwili wyjazdu z Balbec, kiedy mnie widziała tak nieszczęśliwym i martwiła się że mnie zostawia samego, może była rada dowiadując się że Albertyna jedzie z nami i patrząc jak tuż obok naszych walizek (nad temi walizkami spędziłem noc w Hôtel de Balbec, płacząc) pakują do wagonu wąskie i czarne walizki Albertyny. Wydawały mi się podobne do trumien, nie wiedziałem czy wniosą w mój dom życie czy śmierć... Ale nie zadałem sobie nawet tego pytania w ów promienny poranek, po grozie pozostania w Balbec, szczęśliwy że zabieram Albertynę. Matka nie była tedy zrazu wroga memu projektowi; odnosiła się mile do Albertyny, niby mamusia, której syn jest ciężko ranny i która wdzięczna jest jego młodej przyjaciółce, pielęgnującej go z oddaniem. Usposobienie mamy zmieniło się od czasu jak się ów projekt zrealizował zbyt dokładnie, w miarę jak pobyt młodej panny w naszym domu przeciągał się, i to w nieobecności moich rodziców. Ale nie mogę powiedzieć, aby matka zdradziła kiedy przedemną tę wrogość. Jak niegdyś, kiedy nie śmiała mi już wyrzucać nerwowości, lenistwa, tak teraz (w danej chwili może to nie całkiem odgadłem lub nie chciałem odgadnąć) podnosząc pewne wątpliwości co do panny którą (jak jej mówiłem) uważałem za swoją narzeczoną, bała się osmucić moje życie, podkopać mój późniejszy stosunek do żony, zaszczerpić mi może na później, kiedy matki już nie będzie, wyrzut, żem ją zmartwił, żeniąc się z Albertyną. Nie mając nadziei odwrócić mnie od tego wyboru, mama wołała udawać, że go pochwała. Ale wszyscy co ją widzieli w owej epoce, powiadali, że ból po stracie matki zaostriżył się wyrazem nowej troski. Owo napięcie myśli, ciągła wewnętrzna rozterka, przyprawiały mamę o uderzenia krwi do głowy, tak że stale otwierała okna dla ochłody. Ale nie umiała powziąć decyzji, z obawy aby na mnie nie wpłynąć w ujemnym sensie i nie popsuć tego, co uważała za moje szczęście. Nie mogła się nawet zdobyć na protest przeciw pobytowi Albertyny. Nie chciała się okazać surowsza od pani Bontemps; to była przedewszystkiem jej sprawa, ona zaś nie uważała tego za niestosowne, co bardzo dziwiło matkę. W każdym razie żałowała, że nas musi zostawić we dwoje, jadąc właśnie do Combray, gdzie mogła zostać (i w istocie została) długie miesiące, w ciągu których cioteczna babka potrzebowała jej dniem i nocą. W tych okolicznościach wiele dobroci i oddania okazał jej Legrandin, który, nie uchylając się przed żadnym trudem, z tygodnia na tydzień odkładał powrót do Paryża, nie wiele nawet znając moją ciotkę, poprostu dla tego, że była niegdyś przyjaciółką jego matki i dla tego, że czuł, iż chora, skazana na śmierć, lubi jego opiekę i nie może się obyć bez niego. Snobizm jest ciężką chorobą duszy, ale zlokalizowaną, tak iż nie psuje jej całej.

Ja przeciwnie byłem bardzo rad z pobytu mamy w Combray; inaczej bałbym się, aby matka nie odgadła przyjaźni Albertyny z panną Vinteuil, a nie mogłem powiedzieć Albertynie, żeby się z tem kryła. Stałoby się to w oczach matki absolutną przeszkodą, nie tylko do małżeństwa (o którym zresztą na jej prośbę nie miałem jeszcze stanowczo mówić z Albertyną i o którym myśl była mi coraz nieznośniejsza), ale nawet do pobytu Albertyny u nas. Poza tą tak poważną a nieznaną jej racją, mama, z jednej strony przez kult babki, uwielbiającej George Sand i mieszczonej cnotę w szlacheństwie serca, z drugiej strony zdeprawowana moim wpływem, była teraz pobłażliwa dla kobiet, których życie osądziłaby surowo niegdyś (lub nawet dziś, o ileby należały do jej znajomych i przyjaciółek z Paryża lub z Combray); kobiet, których wielką duszę chwaliłem przed mamą i którym wiele przebaczała, bo mnie kochały. Mimo wszystko, i nawet poza kwestją konwenansów, sądzę, że Albertyna byłaby niemożliwa dla mamy, przechowującej po Combray, po cici Leonji, po wszystkich swoich krewnych, nawyki porządku, o którym Albertyna nie miała najmniejszego pojęcia.

Albertyna nie zamknęłaby drzwi, a wzamian nie wahałaby się wejść – niby pies lub kot – kiedy drzwi były otwarte. Wdziękiem jej – nieco uciążliwym – było to, że grała u nas w domu rolę nietyle

młodej dziewczyny, ile zwierzęcia domowego, które wchodzi, wychodzi, płacze się to tu to tam, rzuca się na łóżko obok mnie – cóż za wypoczynek dla mnie! – robi sobie tam miejsce z którego się już nie rusza, nie krępując mnie, w przeciwieństwie do ludzkiej osoby. Bądź co bądź, nagięła się w końcu do moich godzin snu, do tego aby nie próbować nie tylko wchodzić, ale aby nie robić hałasu nim zadzwonię. To Franciszka nałożyła jej te reguły.

Franciszka była z owych służących w stylu Combray, znających wartość swego pana i mających poczucie, że minimum ich obowiązku to pilnować aby mu oddano to co mu się w ich przekonaniu należy. Kiedy obcy gość dawał napiwek Franciszce do podziału z posługaczką, gość jeszcze nie miał czasu wręczyć monety, kiedy Franciszka, z równą chyżością jak dyskrecją i energią, zdążyła udzielić lekcji tej dziewczynie, aby podziękowała nie półsłówkiem, ale szczerze, głośno, tak jak ją nauczyła. Proboszcz z Combray nie był orzeł, ale też wiedział co się należy. Pod jego kierunkiem, córka kuzynów pani Sazerat, protestantów, przeszła na katolicyzm, przyczem rodzina była dla księdza niesłychanie czuła: chodziło o małżeństwo z młodym ziemianinem z okolic Méséglise. Zasięgając informacyj, rodzice młodego człowieka napisali do księdza list dość impertynencki, w którym potraktowano z partesu protestanckie pochodzenie panny. Proboszcz odpowiedział takim tonem, że szlachcic z Méséglise, ukorzywszy się całkowicie, napisał zgoła już inny list, w którym prosił jako o łaskę o to aby mógł przyjąć do rodziny tę panienkę.

Franciszka nie miała w tem zasługi, że nauczyła Albertynę szanować mój sen. Była przepojona tradycją. Z milczenia jej lub ze stanowczej repliki na niewinną propozycję wejścia do mego pokoju lub pytania mnie o coś, Albertyna pojęła ze zdumieniem, że się znalazła w dziwnym świecie o nieznanym zwyczajach, wytyczonych przez niezłomne prawidła. Pierwsze przecucie tego miała już w Balbec, ale w Paryżu nie próbowała nawet się opierać: rano zachowywała ciszę, czekając cierpliwie dzwonka.

Wychowanie, jakiego jej udzieliła Franciszka, było zresztą zbawienne i dla niej samej, przez to że uspokoiło nieco jejki, jakich od powrotu z Balbec nasza stara służąca nie przestawała wydawać. Chodziło o to, iż wsiadając do kolejki, spostrzegła, że zapomniała się pożegnać z „gubernantką” hotelu, wąsatą osobą, dozorującą korytarzy. Osoba ta zaledwie że знаła Franciszkę, ale była dla niej stosunkowo grzeczna. Franciszka chciała absolutnie zawrócić z drogi, wysiąść, wrócić, pożegnać się z „gubernantką” i wyjechać aż nazajutrz. Rozsądek a zwłaszcza nagły wstręt do Balbec nie pozwoliły mi się zgodzić na to; stąd chorobliwe i nerwowe niezadowolenie Franciszki, którego nie zdołała w niej zatrzeć zmiana klimatu i które trwało jeszcze w Paryżu. Bo wedle kodeksu Franciszki, tego, który symbolizują płaskorzeźby w Saint-André-des-Champs, wolno pragnąć śmierci nieprzyjaciela, zadać mu ją nawet, ale straszne jest nie zrobić tego „co się należy”, nie oddać grzeczności, nie pożegnać się przed wyjazdem – jak prawdziwa chamka! – z „gubernantką”. Przez całą podróż, owo wciąż odnawiające się wspomnienie nietaktu okrywało policzki Franciszki niepokojącym pąsem. I jeżeli nie chciała nic jeść i pić aż do Paryża, to może nietyle aby nas ukarać, ale dlatego, że to wspomnienie „gnietło ją” dosłownie w „dołku”. Każda klasa ma swoją patologję.

Jedną z przyczyn sprawiających że mama pisała do mnie codzień (przyczem nigdy nie brakło cytatu z pani de Sévigné), było wspomnienie babki. Mama pisała: „Pani Sazerat wyprawiła dla nas śniadanko, takie jak ona umie; jedno z tych, które – jakby powiedziała twoja biedna babka, cytując panią de Sévigné – »wyrrywają z samotności, nie przynosząc nam towarzystwa«. W jednej z pierwszych odpowiedzi, napisałem głupio: „Po tych cytatach, mamu, twoja matka poznałaby cię zaraz”. Na co, w trzy dni później, dostałem tę odpowiedź: „Drogi dziecko, jeżeli chciałeś mówić o *mojej matce*, bardzo nie w porę powołujesz się na panią de Sévigné. Odpowiedziałyby ci, jak odpowiedziała pani de Grignan: »Więc ona ci była niczem? Sądziłam, że to była twoja krewna«”.

Słyszałem kroki Albertyny wychodzącej ze swego pokoju lub wracającej. Dzwoniłem, bo to była pora, kiedy Anna miała przybyć po Albertynę z szoferem, przyjacielem Morela, narajonym przez Verdurinów. Wspominałem mgliście Albertynie o możliwości naszego małżeństwa, ale nigdy nie uczyniłem tego formalnie; ona sama, kiedym powiedział: „Nie wiem, ale może byłoby to możliwe”,

przez delikatność potrząsnęła z melancholijnym uśmiechem głową, mówiąc: „ale nie, nie byłoby możliwe”, co znaczyło: „jestem za biedna”. I wciąż mówiąc o przyszłości, że „to wszystko jest jeszcze bardzo niepewne”, na razie robiłem wszystko, aby ją rozerwać, umilić jej życie, starając się – może nieświadomie – zbudzić w niej tem ochotę wyjścia za mnie. Śmiała się sama z tego zbytku. „Ależ matka Anny zrobiłaby minę, widząc żem się wystrychnęła na damę bogatą jak ona, mającą – jak ona mówi – »konie, powozy, obrazy«. Jakto? Nigdy ci nie opowiadałam, że ona tak mówi? Och, to jest typ! Dziwi mnie tylko, że ona wynosi obrazy do godności koni i powozów”.

Ujrzymy później, że mimo głupiego słownictwa, jakie jej pozostało, Albertyna rozwinęła się zdumiewająco, co mi było zupełnie obojętne. Duchowe zalety towarzyszki życia zawsze mało mnie interesowały; jeżeli je podkreślałem kiedy, to przez czystą grzeczność. Jedyne oryginalna umysłowość Franciszki bawiłaby mnie może. Mimo woli uśmiechałem się przez chwilę, kiedy naprzykład, korzystając z tego że Albertyny nie było w domu, zagadywała mnie temi słowy: „Bóstwo niebiańskie<sup>2</sup> złożone na łóżku!” Powiadałem: „Ależ, Franciszko, czemu bóstwo niebiańskie? – Och, jeżeli pan myśli, że pan ma coś z ludzi pielgrzymujących na naszej brzydkiej ziemi, myli się pan bardzo. – Ale czemu »złożone« na łóżku, widzi Franciszka przecież, że leżę pod kołdrą. – Pan nigdy nie leży. Czy widział kto kiedy kogo, żeby tak leżał w łóżku? Pan przycupnął jak ptaszek. Ot w tej chwili... ta pyjama taka bieluśka, ta szyjka... istny gołąbek”.

Albertyna, nawet gdy chodziło o lada głupstwo, wyrażała się całkiem inaczej niż podłotek, jakim była jeszcze przed kilku laty w Balbec. Obecnie oświadczyła, z powodu jakiegoś wydarzenia politycznego, które potępiała: „To doprawdy monstrualne”. I nie wiem, czy nie w tej epoce, chcąc powiedzieć, że jakaś książka wydaje się jej źle napisana, nauczyła się mówić: „Zajmujące, ale doprawdy »pisane jak nogą«”.

Zakaz wchodzenia do mnie nim zadzwonię, bawił Albertynę bardzo. Że zaś przejęła nasz rodzinny nawyk cytatów i czerpała je ze sztuk, które grywała w klasztorze a które ja lubiłem, porównywała mnie zawsze z Asuerusem:

Z jego rozkazu krwią się natychmiast ubroczy  
Śmiałek, co nie wołany stanie mu przed oczy.  
Nic od tego wyroku srogięgo nie chroni;  
Płeć ni godność; porówni prawo wszystkim broni  
Przystępu, i ja sama...  
Prawu temu podlegam tak jak każda inna...  
I aby doń przemówić w jakiej bądź potrzebie,  
Muszę czekać, aż wezwać raczy mnie do siebie.

Fizycznie Albertyna zmieniała się również. Długie niebieskie oczy – jeszcze bardziej wydłużone – zmieniły wygląd; zachowały ten sam kolor, ale przeszły jakgdyby w stan płynny. Tak że kiedy je zamykała, miało się wrażenie, że to firankami zasłania się widok morza. I ten zwłaszcza szczególnie, jak sądzę, pamiętałem, rozstając się z nią co nocy. Bo naprzykład, wręcz przeciwnie, przez długi czas jej falujące włosy sprawiały mi co rano niespodziankę, niby coś nowego, czego nigdy nie widziałem. A przecież, cóż może być piękniejszego, niż ten kędzierzawy wianek czarnych fiołków nad uśmiechniętym spojrzeniem młodej dziewczyny? Uśmiech ofiarowuje więcej przyjaźni, ale lśniące haczyki rozkwitłych włosów, bardziej zrosnięte z ciałem, będąc niejako jego falistą transpozycją, snadniej łowią pragnienie.

<sup>2</sup> Ten kwiecisty styl tak odskakuje od zwykłego stylu Franciszki, że raczej należałoby go chyba przypisać znajomej z Balbec, Celeście Albaret. Obie, Franciszka i Celesta, robione były z prawdziwych modeli, służących u Prousta i widocznie zły się tu w jedno (przyp. tłum.). [przypis tłumacza]

Ledwo wszedłszy, Albertyna wskakiwała na łóżko; czasem rozpływała się nad moją inteligencją, przysięgała w szczerym zapale, że wolałaby raczej umrzeć, niż mnie opuścić; były to dni, w których ogoliłem się, zanim kazałem ją wezwać. Była z liczby kobiet, nie umiejących rozróżnić źródeł tego co odczuwają. Przyjemność, jaką im sprawia gładka cera, tłumaczą sobie duchowemi zaletami człowieka, który im wróży możliwości szczęścia, malejącego zresztą i mniej potrzebnego w miarę jak broda odrasta.

Pytałem, dokąd się wybiera.

– Zdaje się, że Anna chce mnie zabrać do Buttes-Chaumont, których nie znam.

Oczywiście, nie podobna mi było rozpoznać wśród mnóstwa słów, czy pod tem kryje się kłamstwo. Ufałem zresztą Annie, że mi opowie dokładnie gdzie była z Albertyną.

W Balbec, kiedym się czuł nadto zmęczony Albertyną, marzyłem, że kiedy powiem kłamliwie Annie: „Aniu złota, czemuż cię nie spotkałem wcześniej! Byłbym cię pokochał. Teraz serce moje należy do innej. Ale i tak możemy się często widywać, bo tamta moja miłość sprawia mi wiele zgrzyot i ty mnie możesz pocieszyć”. Otóż te kłamliwe słowa stały się prawdą w ciągu trzech tygodni. Może Anna wierzyła w Paryżu, że to jest w istocie kłamstwo i że ją kocham, tak jak uwierzyłaby z pewnością w Balbec. Bo prawda tak się zmienia dla nas, że inni ledwo mogą się w niej wyznać. Ponieważ zaś wiedziałem, że Anna opowiedziałaby mi wszystko, prosiłem ją (i zgodziła się) aby wstępowała po Albertynę prawie codzień. W ten sposób mógłbym bez troski zostawać w domu.

Fakt, że Anna jest jedną z „bandy” dziewcząt z Balbec, dawał mi wiarę, że uzyskałaby od Albertyny wszystko, czegobym zapragnął. Doprawdy, mógłbym jej teraz powiedzieć najszczerzej, że byłaby zdolna mnie uspokoić.

Z drugiej strony, wybór Anny (była teraz w Paryżu, poniechała zamierzonego powrotu do Balbec) na towarzyszkę, wynikł z tego, co mi Albertyna mówiła o czułości Anny dla mnie w Balbec, w pewnym momencie, gdy ja przeciwnie bałem się że ją nudzę; gdybym był wówczas wiedział o tem, byłbym może pokochał Annę.

– Jakto nie wiedziałeś – mówiła Albertyna – przecież wszystkie zartowałyśmy z tego. Zresztą, czyś nie zauważył, że ona zaczęła naśladować twój sposób mówienia, twój styl? Zwłaszcza kiedy świeżo się rozstała z tobą, to było uderzające. Nie potrzebowała mówić, że cię widziała. Kiedy przychodziła od ciebie, widać to było od pierwszej sekundy. Patrzyłyśmy po sobie i śmiałyśmy się. Była jak węglarz, który chciałby wmówić że nie jest węglarzem, a jest cały czarny! Młynarz nie potrzebuje mówić że jest młynarzem, jest na nim pełno mąki, ma jeszcze ślady worków które nosił. Anna to samo, podnosiła brwi jak ty, a przytem ta jej długa szyja, słowem nie umiem ci powiedzieć co. Kiedy wezmę książkę, która była w twoim pokoju, mogę ją czytać na dworze, i tak wiadomo że jest od ciebie, bo zachowuje zapach twoich paskudnych okadzań<sup>3</sup>. To niby nic, ale to *nic* jest w gruncie dosyć miłe. Ile razy ktoś mówił dobrze o tobie, kiedy ktoś robił wrażenie że cię wysoko ceni, Anna była wniebowzięta.

Mimo wszystko, nie chcąc aby coś mogły uplanować bez mojej wiedzy, poddałem, aby na ten dzień poniechały Buttes-Chaumont i aby się wybrały raczej do Saint-Cloud, lub gdzieindziej.

To nie znaczyło (wiedziałem o tem) abym kochał bodaj trochę Albertynę. Miłość jest może jedynie rozchodzeniem się owych kręgów, które, pod wpływem jakiegoś wzruszenia, mącą duszę. Pewne kręgi poruszyły całego mnie, kiedy Albertyna powiedziała mi w Balbec o pannie Vinteuil, ale teraz się zatarły. Nie kochałem już Albertyny, bo nic już we mnie nie zostało z cierpienia – uleczonego obecnie – które odczułem w kolejce w Balbec, dowiadując się jaka była młodość Albertyny, z możliwością wizyt w Montjouvain. O tem wszystkim myślałem zbyt długo, z tego byłem uleczone. Ale chwilami coś w sposobie mówienia Albertyny kazało mi przypuszczać – nie wiem czemu – że musiała w swoim jeszcze tak krótkim życiu słuchać wielu komplementów, oświadczeń, i słuchać ich z przyjemnością, można powiedzieć zmysłową. Tak np. mówiła z byle

---

<sup>3</sup> okadzania – zabieg z przepisu lekarzy, stosowany przez samego Prousta przeciw astmie (przyp. tłum.). [przypis tłumacza]

jakiego powodu: „Naprawdę? Całkiem naprawdę?” Gdyby powiedziała tak jak Odeta: „Szczerze mówisz to potworne kłamstwo?” toby mnie z pewnością nie niepokoiło, bo śmieszność tego zwrotu tłumaczyłaby się miałością kobiecego mózgu. Ale jej pytający ton: „Naprawdę?” sprawiał, z jednej strony, dziwne wrażenie istoty, która nie może sobie sama zdać z czegoś sprawy, która apeluje do czyjegóż świadectwa, tak jakby nie posiadała tych samych sprawdzianów (kiedy jej ktoś naprzykład mówił: „Będzie już godzina, jakeśmy wyjechali”, albo: „Deszcz pada”, pytała się: „Naprawdę?”) Na nieszczęście, z drugiej strony, niemożność ocenienia danego zjawiska nie musiała być prawdziwym źródłem owego: „Naprawdę? całkiem naprawdę?” Zdawałoby się raczej, że te słowa musiały być od wczesnej dojrzałości Albertyny odpowiedzią na: „Wie pani, nie widziałem osoby tak pięknej jak pani”; „Pani wie, ja panią bardzo kocham, pani na mnie straszliwie działa”. Twierdzenia, którym odpowiadały z zalotnie przychylną skromnością owe: „Naprawdę? Całkiem naprawdę?” ze mną służące Albertynie już tylko dla odpowiadania pytaniem na słowa takie jak: „Drzemałaś więcej niż godzinę. – Naprawdę?”.

Nie czując się ani trochę zakochany w Albertynie, nie licząc do przyjemności chwil gdy byliśmy razem, wciąż głowiłem się jak ona spędza czas; to fakt, iż uciekłem z Balbec, aby być pewny, że nie będzie mogła już spotkać jakiejś osoby, z którą mogłaby czynić coś złego śmiejąc się, może śmiejąc się ze mnie. Tak bardzo się tego bałem, że starałem się zrećnie przeciąć swoim wyjazdem, od jednego zamachu, wszystkie jej podejrzone stosunki. I Albertyna miała tyle bierności, taką łatwość zapominania i poddawania się, że owe stosunki były naprawdę zerwane a moja obsesja uleczona. Ale ta *fobia* może przybierać tyle form, ile ich ma niepochwytnie zło, będące jej przedmiotem. Dopóki zazdrość moja nie wcieliła się w nowe istoty, miałem po swoich minionych cierpieniach okres spokoju. Ale chronicznej chorobie lada pozór wystarczy do odnowienia się; podobnie narowom osoby, będącej źródłem tej zazdrości, lada sposobność wystarczy na to aby je zaczęła uprawiać na nowo (po okresie wstrzeźliwości) z innymi osobnikami. Mogłem oderwać Albertynę od jej współpracowników i przez to odczynić złe uroki; ale, o ile można było zatrzeć w jej pamięci jakąś osobę, przerwać jej zapęły, żądza rozkoszy była u Albertyny również chroniczna i czekała może tylko okazji aby sobie dać folę. Otóż Paryż dostarcza okazji tyleż co Balbec.

W jakimbyś mieście działałoby się to zresztą, Albertyna nie potrzebowała szukać, bo zło było nie tylko w niej, ale w innych, dla których wszelka sposobność jest dobra. Spojrzenie jednej, natychmiast zrozumiane przez drugą, zbliża do siebie dwie wygłodniałe istoty. I jakże łatwo sprytniej kobiecie udać że nic nie widzi, aby w pięć minut później podejść do osoby, która, zrozumiawszy, czekała na nią w przecznicy. W dwóch słowach umówią schadzkę. Kto się kiedy dowie? I aby to mogło trwać, Albertyna potrzebowała poprostu powiedzieć mi, że pragnie przejechać się znów w jakąś okolicę Paryża, która się jej spodobała. Toteż wystarczało aby wróciła późno, aby zwłoka jej była dla mnie niezrozumiała (choć może bardzo łatwa do wytłumaczenia bez żadnej erotycznej hipotezy), żeby się odrodziło moje cierpienie. Kojarzyło się ono z obrazami nie związanymi już z Balbec, obrazami które siliłem się, jak owe poprzednie, zniweczyć: jakgdyby usunięcie przemijającej przyczyny mogło pokonać organiczną chorobę! Nie zdawałem sobie sprawy, że temi zamachami, które wspomagała zmienność Albertyny, zdolność zapominania – prawie zniechęcenia – niedawnego przedmiotu miłości, mogłem zadać głęboki ból jakiejś nieznannej istocie, partnerce jej rozkoszy; i zadawałem ten ból daremnie, bo w miejsce tych porzuconych istot znalazłyby się inne; i równoległe z drogą, znaczoną tyłoma tak lekko zrywanymi kapryśkami Albertyny, ciągnęłaby się dla mnie inna nieubłagana droga, zaledwie przerywana krótkimi wytchnieniami; tak iż, biorąc logicznie, męka moja mogłaby się skończyć jedynie wraz z Albertyną lub ze mną.

W pierwszym okresie naszego pobytu w Paryżu, relacje Anny i szofera tyjące spacerów Albertyny nie zaspakajały mnie; okolice Paryża były mi czemś nie mniej okrutnym niż okolice Balbec; zaczętem wyjechałem na kilka dni z Albertyną. Ale wszędzie towarzyszyła mi ta sama niepewność: możliwości złego równie liczne, dozór jeszcze trudniejszy, tak że wróciłem z nią do Paryża. Opuszczając Balbec, sądziłem że opuszczam Gomorę, że wyrwam z niej Albertynę; niestety,

Gomora czaiła się po wszystkich kątach świata. I w pół przez zazdrość, w pół przez nieznamość tych uciech (wypadek nader rzadki) unormowałem bezwiednie tę ciuciubabkę, w której Albertyna miała mi się zawsze wymykać.

Pytałem zniecka: – A! Słuchajno, Albertyno, czy mi się coś marzy, czy też wspominałaś, żeś znała Gilbertę Swann?

– Tak, to znaczy ona odezwała się do mnie raz na kursach, bo miała kajety historii francuskiej, była nawet bardzo miła, pożyczała mi tych kajetów i oddałam je za najbliższym widzeniem.

– Czy ona jest z rodzaju kobiet, których nie lubię?

– Och! wcale nie, wręcz przeciwnie.

Ale najczęściej, zamiast się oddawać tego rodzaju śledztwu, obracałem na planowanie spacerów Albertyny energię, której nie zużywałem na to aby jej towarzyszyć, i rozprawiałem o nich z zapalem, typowym dla niewykonanych projektów. Wyrażałem taką chęć obejrzenia witrażu w Sainte-Chapelle, taki żal że nie mogę tego zrobić tylko z samą Albertyną, że wkońcu mówiła czule: „Ależ, kochanie, skoro masz taką ochotę, przemóż się, pojedź z nami. Zaczekamy na ciebie tak długo jak zechcesz. A jeżeli wolisz być ze mną sam, odeszłę poprostu Annę, wybierze się kiedyindziej”. Ale właśnie te prośby aby z nią jechać, pogłębiały spokój, który mi pozwalał poddać się chęci zostania w domu.

Nie zastanawiałem się, że apatja, z jaką powierzałem Albertynę Annie lub szoferowi, zdając na nich ukojenie moich lęków, porażała we mnie, ubezwładniała wszystkie owe pomysłowe drgania inteligencji, owe natchnienia woli, pomagające odgadnąć i udaremnić postęпки danej osoby; to pewna, iż przy moim charakterze świat możliwości był mi zawsze bardziej otwarty niż realny świat urzeczywistnień. To ułatwia ogólne poznanie duszy, ale nie chroni w poszczególnym wypadku. Zazdrość moja i jej męki rodziły się z obrazów, a nie z przypuszczeń. Otóż, w życiu ludzi i w życiu narodów mogą być chwile (i taka chwila miała przyjść w moim życiu), że człowiek potrzebowalby mieć w sobie prefekta policji, bystrego dyplomate, tajnego agenta, który, zamiast roić o bezkresnych możliwościach, skupia się i powiada: „Jeżeli Niemcy oświadczają to a to, to znaczy że chcą zrobić coś innego; nie coś innego w abstrakcji, ale ściśle to lub tamto, co może się już nawet zaczęło”. – „Jeżeli dana osoba uciekła, to nie w kierunku A, B, D, ale w kierunku C; miejscem tedy, gdzie trzeba skupić poszukiwania, jest C”. Niestety, tej zdolności, niezbyt we mnie rozwiniętej, pozwoliłem odrętwieć, osłabnąć, zaniknąć, nawykłszy pogrążyć się w spokoju z chwilą gdy ktoś inny godził się czuwać za mnie.

Co się tyczy powodów owej chęci pozostania w domu, nierad byłbym wyznać je Albertynie. Powiadałem, że lekarz kazał mi leżeć. To nie była prawda. A gdyby nawet tak było, przepisy lekarza nie przeszkodziłyby mi towarzyszyć Albertynie. Wypraszałem się od jechania z nią i z Anną. Podam tylko jedną rację, wspierającą się na rozsądku. Kiedym towarzyszył Albertynie, czułem się niespokojny skoro na chwilę została bezemnie; wyobrażałem sobie, że może z kimś rozmawiała lub bodaj spojrzała na kogoś. Jeżeli nie była w świetnym humorze, myślałem zaraz że mój popsuł lub opóźnił jakiś jej projekt. Rzeczywistość jest zawsze tylko przynętą dla Nieznanego, którego śladem nie możemy zejść bardzo daleko. Lepiej nie wiedzieć, myśleć możliwie najmniej, nie dostarczać zazdrości żadnego konkretnego szczegółu. Niestety, w braku życia zewnętrznego, życie wewnętrzne również nastęcza okazje; i bez spacerów Albertyny, przypadki napotymane we własnych refleksjach dostarczały mi ułamków realności, przyciągających do siebie, niby magnes, trochę owego *Nieznanego*, które z tą chwilą stają się bolesne. Choćbyśmy żyli jak pod pneumatycznym kloszem, i tak skojarzenia, wspomnienia, działają. Ale te wewnętrzne wstrząsy nie następowały zaraz; ledwie Albertyna wyszła, czułem się skrzepiony bodaj na kilka chwil ożywcem działaniem samotności.

Brałem udział w rozkoszach rodzącego się dnia; obudzone pragnienie – kapryśna i czysto moja zachcianka – kosztowania ich nie wystarczyłoby aby je zbliżyć do mnie, gdyby swoista pogoda każdego dnia nie wywoływała we mnie minionych obrazów; co więcej stwierdzała ona ową doraźną realność, bezpośrednio dostępną wszystkim tym, których przypadkowe i tem samem nieważne okoliczności nie zmuszały do zostania w domu. W pewne pogodne dni było tak zimno, odczuwało

się tak szeroką styczność z ulicą, jakgdyby się rozwarły ściany domu: ilekroć przejeżdżał tramwaj, dzwonek jego rozbrzmiewał tak, jakby srebrny nóż uderzał w szklany dom. Ale zwłaszcza w sobie słyszałem z upojeniem nowy dźwięk, wydawany przez skrzypce duszy. Struny ich napina lub zwalnia prosta różnica ulicznej temperatury, światła. W naszej istocie, instrumencie oniemionym przez jednostajność przyzwyczajenia, śpiew rodzi się z tych odstępów, z tych warjacyj, źródła wszelkiej muzyki; aura pewnych dni przerzuca nas odrazu z jednej nuty w drugą – Odnajdujemy zapomnianą melodię, której matematyczną konieczność moglibyśmy odgadnąć, a którą zrazu śpiewamy nie znając jej. Jedynie te zmiany wewnętrzne, mimo że pochodzące z poza mnie, odnawiały dla mnie zewnętrzny świat. Jakieś od dawna zamurowane drzwi otwierały się w moim mózgu. Życie jakichś miast, wesołość jakichś spacerów odzyskiwały we mnie miejsce. Drżąc cały dookoła wibrującej struny, oddałbym za ten tak niezwykły stan moje szare życie dawniejsze i moje przyszłe życie, wytarte gumą przyzwyczajenia.

Kiedy nie wybrałem się z Albertyną na dłuższy spacer, duch mój wałęsał się tem bardziej: wyrzekłszy się kosztowania zmysłami owego poranka, cieszyłem się w wyobraźni wszystkimi podobnymi rankami – minionymi lub możliwymi – ściślej mówiąc pewnym typem poranków, którego wszystkie podobne ranki były jedynie przygodnym i rychło przezemnie utożsamionym odbiciem; chłodne powietrze samo z siebie obracało właściwe stronice: znajdowałem przed sobą ewangelję dnia, tak iż mogłem ją odczytać z łóżka. Ów idealny poranek wypełniał mój umysł trwałą rzeczywistością, tożsamą ze wszystkimi podobnymi rankami, i udzielał mi radości, której nie zmniejszała moja niemoc. Dobrze samopoczucie rodzi się w nas nietylko ze zdrowia, ile z niezużytej nadwyżki sił: możemy je osiągnąć zarówno przez wzmożenie sił, jak przez ograniczenie czynności. Energia, którą kipiałem i którą utrzymywałem w stanie potencjalnym leżąc w łóżku, sprawiała żem drgał i podskakiwał wewnątrz, niby machina, która, nie mogąc zmienić miejsca, kręci się dookoła swej osi.

Franciszka przychodziła rozpalić ogień; iżby lepiej chwycił, rzucała kilka gałązek, których zapach, zapomniany przez całe lato, opisywał dokoła kominka magiczny krąg. Oglądałem w tym kręgu samego siebie czytającego to w Combray to w Doncières i, siedząc w swoim pokoju w Paryżu, czułem się równie radosny, co gdybym się właśnie wybierał na spacer w stronę Méséglise, lub odnalazł Roberta i jego przyjaciół na ćwiczeniach w polu. Właściwa wszystkim ludziom przyjemność odnajdywania wspomnień zamagazynowanych przez pamięć najżywsza bywa u tych, których, z jednej strony, przemoc fizycznych cierpień oraz codzienna nadzieja wyzdrowienia pozbawiają szukania w naturze obrazów pokrewnych tym wspomnieniom, z drugiej zaś strony zostawiają nieco wiary, że zdołają to niebawem uczynić. Dzięki tej wierze zachowują w stosunku do owych obrazów uczucie pragnienia, apetytu, nie patrzą na nie jedynie jak na wspomnienia, jak na obrazy. Ale gdyby nawet obrazy te miały być dla mnie zawsze tylko obrazami, i gdybym, przypominając je sobie, miał je tylko oglądać, i tak odtwarzały one nagle we mnie, z całego mnie, mocą identycznego wrażenia, dziecko, młodzieńca, którzy je widzieli. Zachodziła nietylko zmiana pogody lub zapachu w pokoju, ale różnica wieku, substytucja osoby. Zapach gałązek w mroźnym powietrzu był niby kawał przeszłości; wyłaniała się w moim pokoju niewidzialna ławica lodowa oderwana od dawnej zimy, często zresztą nasycona jakimś zapachem, oświetleniem, niby odmiennymi latami, w których, zanim je nawet uświadomiłem sobie, zanurzałem się ogarnięty weselem oddawna porzuconych nadziei. Słońce docierało do łóżka, przebywało przejrzystą ścianką mego wychudłego ciała, grzało mnie, rozpalało mnie jak kryształ. Wówczas, niby zgłodniały rekonwalescent, sycący się zgóry wszystkimi zabronionymi jeszcze potrawami, zastanawiałem się, czy małżeństwo z Albertyną nie zepsułoby mojego życia, każąc mi podjąć zbyt ciężkie dla mnie brzemię poświęcenia się drugiej istocie, a zarazem zmuszając mnie do życia poza samym sobą wskutek ustawicznej obecności Albertyny i pozbawiając mnie na zawsze rozkoszy samotności.

I nietylko tych rozkoszy. Nawet kiedy żądamy od dnia jedynie pragnień, istnieją pewne pragnienia – zrodzone już nie z rzeczy, ale z osób – których cechą jest to, że są indywidualne. Jeżeli, wstając z łóżka, rozsuwałem na chwilę firanki, czyniłem to nietylko tak jak muzyk otwiera na chwilę

fortepian, aby sprawdzić czy na balkonie i na ulicy słońce ma ściśle tę samą tonację co w moim wspomnieniu; czyniłem to także poto, aby ujrzeć jakąś praczkę niosącą kosz z bielizną, piekarkę w błękitnym fartuchu, mleczarkę z białymi płóciennymi rękawami, przytrzymującą hak, na którym wiszą bańki z mlekiem, jakąś hardą blondynkę w towarzystwie guwernantki, słowem obraz, który różnice linii – ilościowo może nieznaczne – mogą uczynić tak odmiennym od wszelkiego innego obrazu, jak różnica dwóch nut zmienia muzyczną frazę; brak tego widoku pozbawiłby dzień celów, jakie mógł nastrezczać mojej żądzy szczęścia. Ale jeżeli nadwyżka radości, zrodzona z widoku kobiet niepodobnych do wyobrażenia sobie *a priori*, czyniła mi ulicę, miasto, świat bardziej upragnionymi, godniejszymi zwiedzenia, budziła ona we mnie zarazem żądzę wyzdrowienia, wychodzenia z domu, wolności – bez Albertyny. Ileż razy – w chwili gdy nieznaną kobietą, o której miałem marzyć, mijając dom, to pieszo, to całą chyżością auta – cierpiałem, że ciało moje nie może podążyć za spojrzeniem które ją doganiało; że nie może, dosięgając jej niby wystrzelone z rusznicy przez okno, zatrzymać pierzchającej twarzy, zwiastującej mi nadzieję szczęścia, którego, uwięziony jak teraz, nie zaznałbym nigdy.

Zato od Albertyny niczego się już nie mogłem spodziewać. Z każdym dniem wydawała mi się mniej ładna. Dodawało jej uroku jedynie pragnienie, jakie budziła w innych, kiedy, dowiadując się o tem pragnieniu, zaczynałem na nowo cierpieć i chciałem im ją wydrzeć. Mogła mi sprawić ból; dać radości – nie. Jedynie samem cierpieniem trwało moje nudne przywiązanie. Gdy cierpienie ustępowało, a wraz z niem potrzeba ukojenia go, wiążąca całą moją uwagę niby okrutna rozrywka, czułem nicość jaką Albertyna jest dla mnie, jaką ja muszę być dla niej. Byłem nieszczęśliwy że ten stan trwa; chwilami pragnąłem dowiedzieć się o niej czegoś okropnego, czegoś coby mogło nas poróżnić, coby nam się pozwoliło pogodzić i uczynić odmiennym i podatniejszym łańcuch który nas łączył – aż do chwili mego uleczenia.

Na razie, szukałem pomocy tysiąca okoliczności, tysiąca uciech, aby dostarczyły Albertynie złudy owego szczęścia ze mną, którego nie byłem zdolny jej dać. Byłbym chciał, natychmiast po wyzdrowieniu, pojechać do Wenecji; ale jak to zrobić, gdybym się ożenił z Albertyną? Już w Paryżu byłem o nią tak zazdrosny, że kiedyś się decydowałem ruszyć z domu, to tylko poto aby jej towarzyszyć! Nawet kiedyś zostawałem całe popołudnie w domu a ona jechała na spacer, myśl moja towarzyszyła jej, opisywała daleki siny widnokrąg, stwarzała dokoła mnie ruchomą i mglistą strefę niepewności. „Iluż mąk rozstania (powiadałem sobie) oszczędziłaby mi Albertyna, gdyby, widząc że już nie wspominam o małżeństwie, zdecydowała się kiedy nie wrócić ze spaceru, gdyby pojechała na dobre do ciotki, tak abyśmy się nie musieli żegnać!” Serce moje, od czasu jak się jego rana zablizniała, nie było już zrosnięte z sercem Albertyny; mogłem ją w wyobraźni przesuwac, oddalać bez bólu. Gdyby nie wyszła za mnie, wyszłaby pewnie za innego, a gdyby została wolna, miałaby może owe miłostki, któremi się tak brzydziłem. Ale było tak ładnie, byłem tak pewny że Albertyna wróci wieczorem, że nawet jeżeli ta myśl o jej możliwych wybrykach przychodziła mi do głowy, mogłem, przez akt woli, uwięzić Albertynę w partji mojego mózgu, gdzieby miała nie więcej znaczenia, niżby go dla mego realnego życia miały przywary urojonej osoby; poruszając uelastycznione zawiasy swojej myśli, z energją, jaką czułem w głowie – energją fizyczną i umysłową niby ruch mięśniowy i inicjatywę duchową – przewyciężyłem obsesję w której żyłem dotąd. Zaczynałem się poruszać w wolnem powietrzu, na wysokości, z której poświęcenie wszystkiego na to aby zapobiec małżeństwu Albertyny z kimś innym i aby wznieść zaporę jej skłonności do kobiet, zdawało mi się czemś równie niedorzecznem, jak byłoby niedorzeczne w oczach człowieka, któryby jej nie znał.

Zresztą, zazdrość należy do owych napadowych chorób, których przyczyna jest kapryśna, despotyczna, zawsze identyczna u tego samego chorego, czasem zupełnie różna u innego. Jedni astmatycy uśmierzają atak otwierając okna, wdechając silny wiatr, górskie powietrze; inni chroniąc się w centrum miasta, w pokój pełen dymu. Nie ma prawie zazdrośników, których zazdrość nie dopuszczałaby jakiegoś ustępstwa. Jeden godzi się ze zdradą, byle mu ją kobieta wyznała; inny, byle mu ją ukryła; ostatecznie jedno warte jest drugiego, o ile bowiem jeden zazdrośnik bardziej

jest oszukany przez to że mu się kryje prawdę, drugi szuka w tej prawdzie pokarmu, spotęgowania, odnowy swoich cierpień.

Co więcej, te dwie odwrotne manje zazdrości wybiegają często poza słowa, czy to błagając o zwierzenia czy też odtrącając je. Spotyka się mężczyzn zazdrosnych jedynie o kobiety, z którymi ich kochanka ma stosunki zdala od nich, ale godzących się na to aby się oddawała innemu mężczyźnie, byle z ich upoważnieniem, blisko nich i o ile zgoła nie w ich oczach, to bodaj pod ich dachem. Ten wypadek dość częsty jest u mężczyzn starszych, zakochanych w młodej kobiecie. Czują trudność podobania się, czasem niemożność zaspokojenia jej; w obawie zdrady, wolą pozwolić odwiedzać ją u siebie w domu, w sąsiednim pokoju, komuś kto (jak sądzą) niezdolny jest dawać jej złych rad, ale zdolny jest dać jej rozkosz. Inni – wręcz przeciwnie; nie pozwalając kochance wyjść ani na minutę samej w mieście które znają, trzymają ją w istnej niewoli; ale pozwalają jej jechać na miesiąc w strony których nie znają, gdzie nie mogą sobie wyobrazić co ona będzie robiła. Miałem w stosunku do Albertyny obie te kojące manje. Nie byłbym zazdrosny, gdyby zażywała rozkoszy uprawnionych przezemnie, w moim pobliżu, całkowicie pod moim dozorem, przez co oszczędziłbym sobie obawy kłamstwa; i również nie byłbym może zazdrosny, gdyby pojechała w strony natyle mi nieznane i odległe, żebym sobie nie mógł wyobrazić jej sposobu życia, nie miał możliwości i pokusy poznania go. W obu wypadkach, doskonała świadomość lub doskonała niewiedza usunęłyby wątplenie.

Zapadający zmierzch zanurzał mnie siłą wspomnienia w dawnej i ożywczej atmosferze: wdechalem ją z tą samą rozkoszą, z jaką Orfeusz wdechala lekkie, nieznane tej ziemi powietrze Pól Elizejskich.

Ale już dzień się kończył, ogarniał mnie smutek wieczoru. Sprawdzając machinalnie na zegarze, ile jest godzin do powrotu Albertyny, widziałem że mam jeszcze czas ubrać się i zejść, aby poprosić właścicielki domu, pani de Guermantes, o wskazówki dotyczące wykwintnych fatalaszków, którymi chciałem obdarzyć moją przyjaciółkę. Czasem spotykałem księżną w dziedzińcu, wychodzącą pieszo – nawet kiedy było brzydko – w małym kapelusiku i w futrze. Wiedziałem, że dla wielu inteligentnych ludzi jest ona poprostu jakąś panią; nazwisko diuszessy de Guermantes nie znaczy teraz nic, skoro diukostwa i księstwa nie istnieją; ale miałem inny punkt widzenia w swoim sposobie zażywania osób i krajów. Miałem wrażenie, że ta dama w futrze, urągająca niepokodzie, nosi z sobą wszystkie zamki dóbr których jest diuszessą, pryncessą, wikomtessą, tak jak osoby wyrzeźbione na ocapie portalu trzymają w ręce katedrę którą zbudowały, lub miasto które obroniły. Ale jedynie oczy mojej duszy mogły widzieć owe zamki, owe lasy w lewej ręce damy w futrach, kuzynki króla. W dniu, kiedy groził deszcz, oczy mojego ciała rozróżniały jedynie parasol, w który księżna nie lękała się uzbroić. „Nie można nigdy wiedzieć; zawsze to bezpieczniej, w razie gdybym się znalazła bardzo daleko, a fiaker żądałby za drogo jak dla mnie”. Słowa „za drogie”, „przechodzące moje środki” powracały wciąż w rozmowie księżnej, zarówno jak: „Jestem za biedna”; przyczem niewiadomo było czy ją bawi mówić że jest biedna będąc tak bogatą, czy że uważa za wytworne, będąc tak wysoko urodzoną a zarazem udając wieśniaczkę, nie przywiązywać do bogactwa wagi, jaką przywiązują do niego ludzie jedynie bogaci i gardzący ubogimi. Może to był raczej nawyk z epoki, kiedy, już bogata ale niedość bogata w stosunku do kosztu utrzymania tyłu posiadłości, czuła się nieco kuso z pieniędzmi i nie chciała robić wrażenia że to ukrywa. Rzeczy, o których się mówi najczęściej żartując, to są na ogół właśnie rzeczy które sprawiają kłopoty; nie przyznajemy się do tych kłopotów, może z tajoną nadzieją, że właśnie osoba, z którą się rozmawia, słysząc że sobie żartujemy z tego, pomyśli że to nieprawda.

Wiedziałem, że o tej godzinie przeważnie zastanę księżną w domu; byłem rad z tego, bo w ten sposób najłatwiej mogłem poprosić o obszerniejsze wskazówki, których pragnęła Albertyna. Szedłem tam, prawie nie myśląc, jakie to jest niesłychane, że idę do owej tajemniczej pani de Guermantes mego dzieciństwa, i jedynie poto, aby jej użyć poprostu tak jak się używa telefonu, nadprzyrodzonego instrumentu, którego cud zdumiewał nas niegdyś a którym posługujemy się teraz automatycznie, dla sprowadzenia krawca lub zamówienia lodów.

Fatałaszkę sprawiały Albertynie wielką przyjemność. Nie umiałem się powstrzymać, aby jej co dnia nie ofiarować czegoś. I za każdym razem kiedy mówiła z zachwytem o jakiejś szarfie, etoli, parasolce, które, przez okno lub mijając dziedziniec, oczami rozróżniającymi tak szybko wszystkie odcienie elegancji ujrzała na szyi, na ramionach lub w ręce pani de Guermites, wiedząc że trudnego z natury gustu Albertyny (wydelikaczonego jeszcze lekcjami elegancji, czerpanymi z nauk Elstira) nie zadowoliłaby jakaś imitacja, nawet ładnej rzeczy, zastępująca ją w oczach pospólstwa, ale różniąca się od niej całkowicie, zachodziłem w sekrecie, aby wypytać księżnę, gdzie, jak, z jakiego modelu było sporządzone to co się podobało Albertynie, dokąd należy się zwrócić aby uzyskać ściśle to samo; na czym polega sekret krawca, elegancja (Albertyna nazywała to „szyk”, „styl”) wykonania, jak się dokładnie nazywa materia – piękność materiału miała tu swoje znaczenie – której należało żądać.

Kiedy, po przyjeździe z Balbec, powiedziałem Albertynie, że księżna de Guermites mieszka nawprost nas, w tym samym pałacu, wówczas, słysząc ten wielki tytuł i wielkie nazwisko, przybrała minę bardziej niż obojętną, wrogą, wzgardliwą, u hardych i namiętych natur będącą znakiem bezsilnego pragnienia. Albertyna, to była wprawdzie wspaniała natura, ale utajone jej przymioty mogły się rozwijać jedynie pośród tych zapor, jakimi są nasze upodobania, lub żaloba po upodobaniach z których trzeba nam było zrezygnować – jak dla Albertyny snobizm. Żaloba ta zowie się nienawiścią. Nienawiść Albertyny do „świata” zajmowała w niej zresztą bardzo mało miejsca i podobała mi się przez swoją stronę rewolucyjną – mam na myśli nieszczęśliwą miłość do szlachty – wypisaną w charakterze francuskim na odwrotnej stronie medalu, drugą stroną wyrażającego wielkopaństwo pani de Guermites. O to wielkopaństwo, nie mogąc go osiągnąć, Albertyna nie troszczyła się może; że jednak przypomniawszy sobie, iż Elstir mówił o księżnej de Guermites jak o kobiecie najlepiej ubierającej się w Paryżu, republikańska wzgarda Albertyny ustąpiła miejsca żywemu zainteresowaniu się elegantką. Wypytywała mnie często o panią de Guermites i lubiła żebym zasięgał dla niej u księżnej porad toaletowych. Bez wątpienia, mógłbym prosić o te rady pani Swann; raz nawet napisałem do niej w tym celu. Ale pani de Guermites (miałem to wrażenie) jeszcze dalej doprowadziła sztukę ubierania się. Jeżeli, zachodząc tam na chwilę (upewniwszy się że nie wyszła i kazawszy się uprzedzić, kiedy Albertyna wróci), zastawałem księżnę spowitą w mgłę szarej krepdeszynowej sukni, pojmowałem że ten strój jest wypadkową skomplikowanych przyczyn i że nicby się w nim nie dało zmienić; zanurzałem się w atmosferę którą wydzielał, niby schyłek dnia wyścielonych perłowo-szarą watą przez mgliste opary; jeżeli przeciwnie szlafroczek był chiński w żółto-czerwone płomienie, patrzałem nań jak na rozpalający się zachód słońca; owe toalety nie były przygodną dekoracją, dającą się zmienić dowoli, ale ścisłą i poetycką realnością, jak realność pogody w danym dniu lub światło właściwe pewnej godzinie.

Ze wszystkich sukien lub szlafroczków pani de Guermites, najbardziej zdawały się odpowiadać pewnej intencji, najwięcej specjalnej myśli posiadały suknie, które Fortuny stworzył wedle dawnych weneckich wzorów. Historyczny charakter tych sukien, a może fakt że każda z nich jest jedyna, dają im coś tak odrębnego, że poza kobiety która je nosi czekając na nas, rozmawiając z nami, nabiera wyjątkowej ważności; rzekłbyś że ten kostjum jest owocem długiego namysłu i że ta rozmowa odcina się od potocznego życia niby scena romansu. W powieściach Balzaka heroiny kładą z umysłu pewną toaletę w dniu kiedy oczekują pewnego gościa. Dzisiejsze toalety nie mają tyle charakteru – wyjąwszy suknie Fortuny’ego. Nic nie może pozostać mgliste w opisie powieściopisarza, skoro ta suknia istnieje rzeczywiście, skoro najdrobniejszy jej wzór utrwalony jest równie naturalnie jak linie dzieła sztuki. Przed włożeniem tej czy innej sukni, kobieta musiała wybrać między dwiema, i to nie dwiema podobnymi do siebie, ale głęboko indywidualnymi, mogącymi nieomal nosić imiona.

Ale suknia nie przeszkadzała mi myśleć o kobiecie. Pani de Guermites wydawała mi się nawet w tej epoce miłsza niż w czasie gdy się w niej jeszcze kochałem. Mniej od niej oczekując (nie chodziłem już tam dla niej samej) słuchałem jej niemal ze spokojną bezceremonialnością, jaką się ma u siebie w domu, grzejąc się przy kominku; słuchałem jej tak, jakbym czytał książkę pisaną starym językiem. Miałem dość swobody ducha, aby w tem co mówiła smakować ów francuski i tak

czysty wdzięk, którego się już dziś nie spotyka w mowie ani w książkach. Słuchałem jej rozmowy niby czysto i rozkosznie francuskiej ludowej piosenki; rozumiałem, że mogła sobie niegdyś żartować z Maeterlincka (podziwiała go zresztą teraz przez płytkość kobiety, wrażliwej na owe mody literackie, których promienie dochodzą późno), tak jak rozumiałem że Mérimée drwił sobie z Baudelaire'a, Stendhal z Balzaka, Paul Louis Courier z Wiktora Hugo, Meilhac z Mallarmégo. Rozumiałem że żartowniś posiadał, w porównaniu z tym z kogo żartował, umysłowość bardzo ograniczoną, ale za to słownik czystszy. Słownik pani de Guermantes – prawie w tym stopniu co język matki Roberta – był zachwycająco czysty. Nie w zimnych falsyfikatach dzisiejszych pisarzy, operujących archaizmami od siedmiu boleści, można odnaleźć stary język i prawdziwą wymowę, ale rozmawiając z panią de Guermantes lub z Franciszką; mając pięć lat, nauczyłem się od Franciszki że nie mówi się *le Tarn* ale *le Tar*, nie *Béarn* ale *Béar*. Co sprawiło, że w dwudziestym roku życia, kiedym zaczął bywać w świecie, nie musiałem się uczyć, że nie trzeba mówić jak pani Bontemps: „Pani de Béarn”.

Skłamałbym, mówiąc że księżna nie była świadoma tych wsiowych, omal chłopskich rysów, które w niej przetrwały, i że nie wkładała pewnej kokieteryj w podkreślanie ich. Ale była to u niej nietyle fałszywa prostota wielkiej damy udającej wieśniaczkę oraz duma księżnej dającej nauczkę parwienuszkom gardzącym chłopami których nie znają, ile artystyczny niemal smak kobiety, znającej czar tego co posiada i nie myślącej psuć tego nowoczesną zaprawą. Podobnie wszyscy znali w Dives normandzkiego restauratora, właściciela „Wilhelma Zdobywcy”, który strzegł się pilnie – rzecz nader rzadka – stroić swojej gospody w nowoczesny zbytek hotelowy; będąc milionerem, zachował język i bluzę normandzkiego chłopca i pozwalał gościom zachodzić do kuchni, aby oglądać, wiejską modą, samego gospodarza przyrządzającego obiad, który był mimo to nieskończenie lepszy i jeszcze droższy niż w najwspanialszych palace-hotelach.

Wszystkie rodzime soki, znajdujące się w starych arystokratycznych rodach, nie wystarczą; trzeba żeby się zdarzyła istota na tyle inteligentna aby nie gardzić temi sokami, aby ich nie zatracić pod światowym pokostem. Pani de Guermantes – na nieszczęście dowcipna paryżanka – zachowała, kiedy ją poznałem, jedynie akcent swoich stron. Ale przynajmniej, kiedy wspominała dziewczęce lata, znajdowała w swoim języku coś pośredniego między naiwnym prowincjonalizmem a sztucznością literacką; kompromis, który tworzy wdzięk *La petite Fadette* George Sand, lub pewnych legend wplecionych przez Chateaubrianda w *Pamiętniki z za grobu*. Rozkosz moja to było słyszeć z jej ust opowiadania o chłopach. Stare nazwy, stare zwyczaje, dawały tej symbiozie zamku i wsi coś nader soczystego. Zachowawszy styczność z ziemią na której władza udzielnie, pewien typ arystokracji pozostaje regionalny, tak że najprostsze odezwania się rozwijają nam przed oczami historyczną i geograficzną mapę dawnej Francji.

Kiedy nie było w tem przesady, intencji fabrykowania własnego języka, wówczas wymowa ta stawała się istnem muzeum historii Francji. Wymowa: „Mój stryjeczny dziadek Fitt-Zam” nie dziwiła zgoła, bo wiadomo że Fitz-James'owie uważają się za magnatów francuskich i nie chcą aby ich wymawiać z angielska. Trzeba zresztą podziwiać wzruszającą uległość ludzi, którzy sądzą dotąd że powinni wymawiać gramatycznie pewne nazwiska, a którzy, usłyszawszy że księżna de Guermantes wymawia je inaczej, przerzucili się nagle w nie przeczuwaną wprzód wymowę. I tak, księżna, która miała pradiadka dworzanina hrabi de Chambord, drocząc się z mężem że się stał orleanistą, lubiła mówić: „My, stara wiara z Frochedorf<sup>4</sup>” Gość, który sądził dotąd, że się wymawia: „Frohsdorf”, skręcał co żywo kominka i powtarzał wciąż „Frochedorf”.

Pewnego razu spytałem pani de Guermantes, kto jest uroczy młody człowiek, którego mi przedstawiła jako swego siostrzeńca, a którego nazwiska nie dosłyszałem; ale nie wiele mnie objaśniło, kiedy, z głębin krtani, księżna wyrzuciła bardzo głośno, ale nie artykułując: „*C'est l'... i Eon... l... b... frère à Robert*. Utrzymuje, że ma czaszkę kształtu dawnych Gallów”. Wówczas

<sup>4</sup> *Frochedorf* – zamek w Austrii, rezydencja hrabiego de Chambord, potomka Burbonów i pretendenta do korony francuskiej, który obrał ten zamek za siedzibę swego wygnania (przyp. tłum). [przypis tłumacza]

zrozumiałem, że powiedziała: „To Leonek, książe de Léon, szwagier (był nim w istocie) Roberta de Saint-Loup”. – „Nie wiem, czy ma czaszkę Gallów – dodała – ale jego sposób ubierania się, bardzo elegancki zresztą, nie pochodzi od Gallów. Pewnego dnia, kiedy z Josselin, gdzie byłam u Rohanów, wybraliśmy się na odpust, zeszli się tam chłopci bodaj że z całej Bretanji. Jakiś dryblas, kmiotek z Léon, patrzył z osłupieniem na beżowe porteczki Robertowego szwagra. „Co ty tak się gapisz – rzekł Léon – założę się, że nie wiesz kto ja jestem”. Chłop powiedział, że w istocie nie wie. „No więc, ja jestem twój książe. – A! odpowiedział wieśniak, odkrywając głowę i przepraszając: wziąłem pana za angielszyka”.

A jeżeli, korzystając z tego punktu wyjścia, wyciągnąłem panią de Guermantes na Rohanów (z którymi rodzina jej kojarzyła się często), rozmowa jej nasiąkała potrosze melancholijnym czarem *Przebaczeń* i jakby powiedział ten szczyry poeta, Pampille, wydzielając „*l'après saveur des crêpes de blé noir, cuites sur un feu d'ajoncs*”.

Opowiadała także o margrabi Lau (znany jest jego smutny koniec, kiedy, już głuchy, kazał się nosić do ociemniałej pani H...) z jego mniej tragicznych lat, kiedy, po polowaniu w Guermantes, siadał w papuciach do herbaty z królem angielskim, od którego nie uważał się za niższego i z którym, jak widzimy, nie robił sobie ceremonji. Opowiadała to tak malowniczo, że stroiła margrabiego jakgdyby w pióropusz hardych perygordzkich muszkieterów.

Zresztą nawet w zwykłej wzmiance o kimś, uwydatnienie stron z których pochodzi dawało pani de Guermantes swoisty i bardzo własny urok, niedostępny rodowitej paryżance. Te proste nazwy: Anjou, Poitou, Périgord, zmieniały się w jej ustach w krajobrazy.

Aby wrócić do wymowy i słownika pani de Guermantes, stanowią one właśnie rys, w którym arystokracja okazuje się naprawdę konserwatywna, ze wszystkim co to słowo zawiera wraz dziecinnego, niebezpiecznego potrosze, opornego ewolucji, ale i zabawnego dla artysty. Chciałem wiedzieć, jak się niegdyś pisało słowo „Jean”. Dowiedziałem się o tem z listu siostrzeńca pani de Villeparisis, podpisującego się – tak jak go ochrzczono, jak figuruje w gotajskim almanachu – „Jehan de Villeparisis”, z tem samem pięknem *H*, bezużytecznem, heraldycznym, jakie podziwiamy iluminowane szkarłatem lub ultramaryną w książce do nabożeństwa lub na witrażu.

Niestety, nie miałem czasu przedłużać w nieskończoność tych wizyt, pragnąc, o ile możliwe, być w domu przed Albertyną. Otóż, jedynie potrochu mogłem wyciskać z pani de Guermantes informacje potrzebne mi do zamówienia dla Albertyny podobnych toalet, o tyle o ile młoda panna mogła je nosić. „Naprzykład, proszę pani, w dniu kiedy pani miała być na obiedzie u pani de Saint-Euverte przed rautem u księżnej Marji, miała pani suknię całą czerwoną i czerwone pantofelki; była pani bajeczna; wyglądała pani jak wielki kwiat we krwi, rubin w płomieniach, jak się to nazywało? Czy młoda panienka może to nosić?”

Przywracając swojej zmęczonej twarzy promienny wyraz, jaki miewała niegdyś księżna des Laumes, kiedy Swann mówił jej komplementy, pani de Guermantes, śmiejąc się do łez, popatrzyła drwiącym, pytającym i zachwyconym wzrokiem na pana de Bréauté, zawsze obecnego u niej o tej godzinie i sączącego z za monokla uśmiech pobłażliwy dla bredni intelektualisty, w których widział erotyczne podniecenie młodego człowieka. Księżna miała minę taką, jakby mówiła: „Co jemu się dzieje, zwarzował”. Potem, obracając się do mnie, rzekła przymilnie:

– Nie wiedziałam, że byłam podobna do rubinu w płomieniach, albo do kwiatu we krwi, ale przypominam sobie w istocie, że miałam czerwoną suknię; noszono wtedy taki czerwony atłas. Tak, ostatecznie młoda panna może to nosić, ale mówił mi pan, że ta młoda osoba nie bywa na balach. To jest suknia na wielki wieczór, tego nie można kłaść na wizyty.

Nadzwyczajne jest, że pani de Guermantes przypominała sobie z owego wieczora (ostatecznie to nie było tak dawno) jedynie swoją toaletę, a zapomniała pewnej rzeczy, która, jak się okaże, powinna jednak była leżeć jej na sercu. Zdaje się, że u ludzi czynu (a ludzie światowi to są ludzie czynu – drobnutcy, mikroskopijni, ale ostatecznie ludzie czynu) myśl, przemęczona oczekiwaniem tego co się zdarzy za godzinę, bardzo mało rzeczy przekazuje pamięci. Często naprzykład, p. de

Norpois (nie dlatego, aby rzucić piaskiem w oczy i nie okazać że się pomylił), kiedy mu ktoś przypomniał jego zawodne prognozyki sojuszu z Niemcami, który się wcale nie skleił, odpowiadał:

– Musiał się pan pomylić, wcale sobie tego nie przypominam, to nie podobne do mnie, bo w tego rodzaju rozmowach jestem zawsze bardzo lakoniczny; nie byłbym nigdy przepowiadał sukcesu jednego z owych *coups d'éclat*, które są często tylko *coups de tête*, a kończą się zwykle na *coups de force*. Niezaprzeczonym faktem jest, że w odległej przyszłości zbliżenie francusko-niemieckie mogłoby się ziścić i byłoby bardzo korzystne dla obu krajów, przyczem Francja, jak sędzę, nie zrobiłaby złego interesu; ale nigdy o tem nie mówiłem, bo owoc nie jest dojrzały. Jeżeli pan chce wiedzieć moje zdanie, sędzę iż, zapraszając naszych dawnych wrogów na gody weselne, narazilibyśmy się na szach i mat i łatwo moglibyśmy oberwać guza.

Mówiąc to, p. de Norpois nie kłamał; poprostu zapomniał. Zapomina się zresztą szybko tego, czego nie przemyślało się głęboko, tego co nam podyktował przykład, atmosfera otaczających namiętności. Namiętności się zmieniają a wraz z nimi przeobraża się nasze wspomnienie. Bardziej jeszcze od dyplomatów, politycy nie pamiętają własnego punktu widzenia w danej chwili; wyparcie się samych siebie wynika u nich często nietyle z nadmiaru ambicji ile z braku pamięci. Co się tyczy światowców, ci wogóle mało co sobie przypominają.

Pani de Guermantes twierdziła, że sobie nie przypomina, aby na wieczorze gdzie miała czerwoną suknię, była obecna pani de Chaussepierre, że się z pewnością myli. A przecież Bóg wie ile od tego czasu Chaussepierre'owie zaprzęтали księstwa Błazejów. Oto czemu. Kiedy prezes Jockey-clubu umarł, p. de Guermantes był najstarszym wiceprezesem. Niektórzy członkowie klubu, pozbawieni stosunków i czerpiący jedyną przyjemność w dawaniu czarnych gałek ludziom u których nie bywają, podjęli kampanję przeciw księciu, który, pewny wyboru i dość lekko traktujący tę prezesurę – drobiazg w stosunku do jego światowej sytuacji – nie rozwinął żadnych starań. Wyzyskano to, że księżna była dreyfusistką (sprawa Dreyfusa była wprawdzie oddawna zakończona, ale w dwadzieścia lat potem jeszcze o niej mówiono, a dopiero upłynęły dwa), że przyjmuje Rotszyldów. Zarazem szeptano, że zanadto faworyzuje się od jakiegoś czasu potentatów międzynarodowych, jak książe de Guermantes, nawpół Niemiec. Kampanja znalazła teren nader podatny; kluby są zawsze bardzo zawistne w stosunku do ludzi na świeczniku i nienawidzą wielkich fortun.

Majątek pana de Chaussepierre był okazały, ale nie mógł nikogo razić; on sam nie wydawał ani grosza, mieszkanie zajmowali skromne, żona chodziła w czarnej wełnianej sukni. Przepadając za muzyką, dawała małe zebrańka, na które zapraszano o wiele więcej śpiewaczek niż u Guermantów. Ale nikt o tem nie mówił, wszystko odbywało się bez parady, często w nieobecności męża, w mrokach ulicy de la Chaise. W operze, pani de Chaussepierre bywała niepostrzeżona, zawsze w towarzystwie osób, których nazwiska przypominały środowisko najbardziej „ultra”, najbliższe Karola X, ale osób żyjących na uboczu, mało światowych. W dniu wyboru, ku powszechnemu zdumieniu, mrok odniósł tryumf nad blaskiem: Chaussepierre, drugi wiceprezes, został prezesem Jockey-clubu, a książe de Guermantes został na lodzie, to znaczy pierwszym wiceprezesem jak dawniej. Z pewnością, być prezesem Jockey-clubu, to nie wielka rzecz dla magnata takiego jak Guermantes. Ale nie zostać nim w swojej koleji, być pobitym przez takiego Chaussepierre, którego żonie Oriana nie odkłaniała się dwa lata wprzód, wręcz obrażona ukłonem nieznanego nietoperzycy, to było ciężkie dla księcia! Twierdził, że jest wyższy nad tę kłękę, upewniając zresztą, że zawdzięcza ją dawnej przyjaźni ze Swannem. W rzeczywistości wściekał się.

Rzecz osobliwa, nigdy nie słyszało się, aby książe de Guermantes posługiwał się dosyć banalnym wyrażeniem „zasadniczo”, ale od czasu wyborów w Jockeyu, ilekroć mówiono o sprawie Dreyfusa, zaraz zjawiało się „zasadniczo”: „Sprawa Dreyfusa, sprawa Dreyfusa, łatwo się tak mówi, ale ta nazwa jest niewłaściwa; to nie jest sprawa religii, ale zasadniczo sprawa polityczna”. Pięć lat mogło upłynąć, a nie słyszało się „zasadniczo”, o ile w ciągu tego czasu nie mówiło się o sprawie Dreyfusa; ale jeżeli, po upływie pięciu lat, nazwisko Dreyfusa wróciło w rozmowie, natychmiast wracało automatycznie „zasadniczo”. Książę nie znosił zresztą aby mówiono o tej sprawie, „która

spowodowała (powiadał) tyle nieszczęść”, mimo iż naprawdę czuły był tylko na jedno: na swoją przegraną w Jockeyu. Toteż owego popołudnia, kiedy przypominałem pani de Guermantes czerwoną suknię, którą miała wieczór u kuzynki, p. de Bréauté bardzo źle się wybrał, kiedy, chcąc coś powiedzieć, przez niewytłumaczone i nie objaśnione przez niego skojarzenie, manipulując językiem w zesnurowanych ustach, zaczął: „A propos sprawy Dreyfusa” (czemu „sprawy Dreyfusa”: chodziło tylko o czerwoną suknię, i z pewnością biedny Bréauté, który zawsze chciał tylko zrobić każdemu przyjemność, nie miał w tem cienia złej intencji). Ale samo nazwisko Dreyfusa sprawiło, że książę Błażej zmarszczył jowiszowe brwi. „Powtarzano mi – rzekł Bréauté – dość ładne powiedzenie, daję słowo bardzo subtelne, pocziwego Cartier (uprzedźmy czytelnika, że ów Cartier, brat pani de Villefranche, nie miał cienia związku z jubilerem tegoż nazwiska) co mnie zresztą nie dziwi, bo on ma dowcipu tyle, że mógłby go odprzedać.

– Och – przerwała Oriana, nie jabym go z pewnością kupiła. Nie umiem powiedzieć, jak mnie pański Cartier zawsze nudził, nigdy nie mogłam zrozumieć, co za niesłychane uroki Lolo de la Trémoille i jego żona znajdują w tym nudziarzu, którego zastaję u nich za każdym razem kiedy tam idę.

– Droga księżno – odparł Bréauté, który z trudnością wymawiał literę *r* – jest pani bardzo sułowa dla tego dobrego Cartier. Prawda, że on zanadto się zadomowił u La Trémoille’ów, ale ostatecznie to jest dla Lola rodzaj, jakby to powiedzieć, wiernego Achata, gatunek który stał się białym krukiem w obecnych czasach. W każdym razie, oto powiedzenie, które mi powtórzono: Cartier miał rzec, że jeżeli pan Zola starał się mieć proces i naraził się na skazanie, to aby doznać wrażeń, których jeszcze nie znał, człowieka siedzącego w więzieniu.

– I dlatego uciekł przed aresztowaniem! – przerwała Oriana. – To się nie trzyma kupy. Zresztą, nawet gdyby to było prawdopodobne, koncept wydaje mi się idjotyczny. Jeżeli to się panu wydaje dowcipne!

– Mój Boże, długa pani Oriano – odparł pan de Bréauté, który, zaatakowany, zaczął rejterować, – dowcip nie jest mój, powtarzam go jak słyszałem, trzeba go brać tak jak jest. W każdym razie był on przyczyną, że Cartier oberwał tęgą pucówkę od pocziwego La Trémoille, który (bardzo słusznie) nie chce, aby w jego salonie mówiono o tem, co nazwałbym „bieżące sprawy”, zwłaszcza że była tam właśnie pani Alfonsowa Rothschild. Cartier dostał od Lola de la Trémoillee płaździwe wciełanie.

– Oczywiście – rzekł książę bardzo kwaśny. – Rothschildowie, mimo że mają natyle taktu aby nigdy nie mówić o tej ohydnej sprawie, są w duszy za Dreyfusem, jak wszyscy Żydzi. To jest nawet argument *ad hominem* (książę używał trochę naoslep wyrażenia: *ad hominem*), który nie dosyć się podkreśla, aby wykazać złą wiarę Żydów. Jeżeli Francuz kradnie, morduje, nie czuję się zobowiązany, dlatego że jest, jak ja, Francuzem, uważać go za niewinnego. Ale Żydzi nie uznają nigdy, aby któryś z ich rodaków był zdrajcą, mimo że wiedzą o tem doskonale, i mało dbają o straszliwe następstwa (książę myślał oczywiście o oburzającym wyborze pana de Chaussepierre), jakie zbrodnia jednego z nich może ściągnąć... Słuchaj Oriano, nie będziesz przecież twierdziła, aby fakt, że oni bronią zdrajcy, nie był miażdżący dla Żydów. Nie powiesz mi, że to nie z racji swego żydowstwa.

– Mój Boże, owszem, – odparła Oriana, odczuwając jakąś drażniącą chęć opierania się grzmiącemu Jowiszowi, a także postawienia „inteligencji” ponad sprawę Dreyfusa. – Ale to może właśnie dlatego, że jako Żydzi, znając samych siebie, wiedzą, że można być Żydem a nie koniecznie zdrajcą i wrogiem Francji, jak to twierdzi, zdaje się, pan Drumont. Gdyby Dreyfus był chrześcijaninem, z pewnością Żydzi by się nim nie interesowali; ale to co zrobili, zrobili dlatego, że czują, iż gdyby nie był Żydem, nie uwierzono by tak łatwo w jego zdradę *a priori*, jakby powiedział mój siostrzeniec Robert.

– Kobiety nie mają pojęcia o polityce! – wykrzyknął książę, wpijając wzrok w żonę. – Ta ohydna zbrodnia nie jest poprostu tylko sprawą żydowską; to zasadniczo olbrzymia sprawa narodowa, zdolna sprowadzić najstraszliwsze następstwa na Francję, skąd powinno się wypędzić wszystkich Żydów, mimo że uznają, iż sankcje dotychczasowe podjęto (w sposób niegodny,

absolutnie wymagający rewizji) nie przeciw nim, ale przeciw ich najznamienitszym przeciwnikom, ludziom pierwszorzędnej wartości, pominiętym z uszczerbkiem kraju.

Czułem, że sytuacja staje się groźna i zacząłem czempredzej mówić o sukniach.

– Przypomina sobie pani – rzekłem – pierwszy dzień kiedy pani była miła dla mnie?

– Pierwszy dzień kiedy byłam miła dla niego! – odparła księżna, patrząc ze śmiechem na pana de Bréauté, którego nos ścieńczał, uśmiech roztkliwił się przez grzeczność dla pani de Guermantes, a głos, podobny do ostrzenia noża, wydał mętny i zardzewiały dźwięk.

– Miała pani żółtą suknię w wielkie czarne kwiaty.

– Ależ, dziecko, to jest to samo, to są wszystko suknie wieczorowe.

– A kapelusz z bławatkami, który tak lubiłem! Ale, ostatecznie, wszystko to jest przeszłość. Chciałbym zamówić dla panienki o której mówiłem, futrzany płaszcz, taki jak księżna miała wczoraj rano. Czy byłoby możliwe go zobaczyć?

– Nie, Hannibal musi za chwilę iść. Przyjdzie pan do mnie, garderobiana pokaże panu wszystko. Tylko, moje dziecko, ja panu chętnie pożyczę co pan zechce, ale jeżeli rzeczy od Callota, od Douceta lub od Paquina da pan do roboty pokątnej krawcowej, to nie będzie nigdy to samo.

– Ależ ja wcale nie chcę krawcowej, znam doskonale różnicę, ale byłbym ciekaw zrozumieć, czemu to jest co innego.

– Ależ pan wie przecie, że ja nie umiem nic wytłumaczyć, ja jestem ciemna, gadam jak chłopka. To kwestja fasonu, kroju; co się tyczy futer, mogę panu dać słówko do mojego kuśnierza; w ten sposób nie okradnie choć pana. Ale pan wie, że i tak będzie to kosztowało osiem do dziewięciu tysięcy.

– A ten szlafroczek, który tak brzydko pachnie, ten co księżna miała kiedyś wieczór, taki ciemny, puszysty, nakrapiany, przetykany złotem jak skrzydło motyla?

– A! to suknia Fortuny’ego. Pańska znajoma może to świetnie nosić w domu. Mam tego dużo, pokażę panu, mogę panu nawet darować którą, jeżeli to panu sprawi przyjemność. Ale chciałabym zwłaszcza, żeby pan zobaczył suknię mojej kuzynki Talleyrand. Muszę do niej napisać, żeby mi jej pożyczyła.

– Pani miała także śliczne pantofelki, czy to też Fortuny?

– Nie, już wiem co pan myśli, to złocone *chevreau*, znaleźliśmy to w Londynie, robiąc sprawunki z Consuelo de Manchester. To nadzwyczajne. Nigdy nie mogłem zrozumieć jak to jest złocone; możnaby rzec złota skóra, nic więcej, i djamencik w środku. Biedna księżna de Manchester nie żyje, ale jeżeli to pana bawi, napiszę do pani de Warwick albo do pani Malborough, żeby mi znalazła podobne. Myślę nawet, czy ja nie mam jeszcze tej skóry. Dałoby się może zrobić to tutaj. Poszukam dziś wieczór, dam panu znać.

Ponieważ starałem się, o ile możliwe, wyjść od księżnej zanim Albertyna wróci, często, wychodząc od pani de Guermantes, spotykałem w dziedzińcu pana de Charlus i Morela, którzy szli do Jupiena na herbatę – szczyt szczęścia dla barona. Nie zawsze ich spotykałem, ale bywali tam codziennie. Trzeba zresztą zauważyć, że stałość przyzwyczajęń pozostaje zazwyczaj w stosunku prostym do ich nedorzeczności. Rzeczy wspaniałe robi się zwykle jedynie wybuchowo. Natomiast egzystencje nedorzeczne, w których maniak pozbawia się sam wszystkich przyjemności i nakłada sobie największe udreki, te egzystencje zmieniają się najmniej. Co dziesięć lat, gdyby ktoś był ciekaw, odnalazłby nieszczęśnika, śpiącego w porze gdy mógłby żyć, wychodzącego w godzinach w których można być tylko zamordowanym na ulicy, pijącego lodowate napoje kiedy mu jest gorąco, wciąż leczącego się z kataru. Wystarczyłoby drgnięcia energii, jednego dnia, aby to zmienić raz na zawsze. Ale właśnie te egzystencje są losem istot niezdolnych do energii. Przywary ich są drugą fizjognomią tych monottonnych istnień, których nędzę mogłaby złagodzić odrobina woli. Te dwie fizjognomie możnaby porówni brać pod uwagę, mówiąc o codziennych wizytach pana de Charlus z Morelem u Jupiena. Raz tylko burza wstrząsnęła tym codziennym zwyczajem. Siostrzenica ex-krawca rzekła raz do Morela: „Owszem, niech pan przyjdzie jutro, postawię panu herbatę”. Baron słusznie uznał

to wyrażenie za nazbyt pospolite, jak na osobę, którą zamierzał uczynić niemal swoją synową; ale ponieważ lubił dręczyć i upajał się własnym gniewem, przeto, zamiast poprosić poprostu Morela aby dał narzeczonej lekcję dobrych manier, przez całą powrotną drogę robił mu gwałtowne sceny. Najbrutalniejszym, aroganckim tonem wykrzykiwał:

– *Dotyk*, który, jak widzę, nie idzie ręką w rękę z *taktem*, zahamował u ciebie normalny rozwój powonienia, skoro zniosłeś, aby ten cuchnący zwrot: „postawić herbatę” – za 15 centymów, jak sądzę – ośmielił się obrazić swoim kloacznym zapachem moje królewskie nozdrza! Kiedyś skończył *solo* skrzypcowe, czyś widział kiedy u mnie aby cię nagradzano przyknięciem zamiast frenetycznego oklasku lub milczenia, wymowniejszego jeszcze, bo wyrażającego niemożność powstrzymania (nie tego, czem cię darzy twoja narzeczona) ale łez któreś wycisnął?

Kiedy urzędnik ściągnie na siebie takie wymówki szefa, wylatuje nazajutrz. Ale odprawić Morela byłoby dla pana de Charlus katastrofą; obawiając się nawet, że się posunął za daleko, zaczął obsypywać młodą dziewczynę pochwałami subtelnymi i pełnymi smaku, z domieszką bezwiednych impertynencji. „Ona jest czarująca tak jak ty jesteś muzyk; musiała cię urzec swoim głosem, istotnie bardzo pięknym w wysokich nutach, jakby wyczekujących akompanjamentu twojego wysokiego *h*. Jej niski rejestr mniej mi się podoba, co musi być w związku z trzema kondygnacjami jej dziwnej i szczupłej szyi, piętrzącej się bez końca. Bardziej od tych wątpliwych szczegółów podoba mi się jej sylweta. A że jest szwaczką i umie manipulować nożyczkami, musi mi wystrzyć swoją sylwetkę z papieru.

Charlie słuchał z roztargnieniem, zwłaszcza że sławione uroki narzeczonej nigdy go nie uderzyły. Ale odpowiedział baronowi: „Dobrze, maluśki, zmyję jej głowę, aby nie mówiła w ten sposób”. Jeżeli Morel mówił do pana de Charlus „maluśki”, to nie znaczy, aby piękny skrzypek nie wiedział że baron jest trzy razy starszy od niego. Nie mówił też tego tak jakby powiedział Jupien, ale z ową prostotą, jaka w pewnych stosunkach żąda, aby przekreślenie różnicy wieku milcząco wyprzedzało czułość. Czułość udaną u Morela; u innych – czułość szczerą. I tak, w tej epoce p. de Charlus otrzymał list zredagowany w ten sposób: „Palamedzie drogi, kiedy cię znów zobaczę? Tęsknię za tobą i myślę często o tobie. – Piotr”. P. de Charlus łamał sobie głowę, kto z krewnych pozwala sobie pisać doń tak poufale; musiał go widocznie dobrze znać, a mimo to nie mógł poznać pisma. Wszyscy księżęta, którym almanach gotajski używa po kilka wierszy, kręcili się przez parę dni po mózgu pana de Charlus. Wkońcu, nagle, adres na odwrocie koperty oświecił go: autorem listu był „strzelec” z karcianego klubu, gdzie p. de Charlus zachodził czasami. Ów strzelec nie sądził, aby było niegrzecznie pisać w tym tonie do pana de Charlus, który mu przeciwnie bardzo imponował. Ale myślał, że nie byłoby uprzejmie nie *tykać* człowieka, który go sporo razy całował i tem samem – tak sobie chłopak wyobrażał w swojej naiwności – okazał mu swoje przywiązanie. P. de Charlus był w gruncie zachwycony tą poufałością. Odprowadził raz nawet pana de Vaugoubert, aby mu pokazać list, a Bóg wie, jak baron źle znosił towarzystwo pana de Vaugoubert! Bo ten, z monoklem w oku, rozglądał się cały czas za każdym przechodzącym młodym człowiekiem. Co więcej, czując się śmielszy w towarzystwie barona, używał języka, którego p. de Charlus nie znosił. Żeńszczył wszystkie męskie imiona, że zaś był bardzo głupi, uważał ten żarcik za nader dowcipny i cały czas pękał ze śmiechu. Ponieważ zależało mu przy tem bardzo na swoim dyplomatycznym stanowisku, ową niecierpliwą jowialność przerywał ciągle lęk przed spotkaniem kogoś z towarzystwa, zwłaszcza zaś z ministerstwa. „Znałem tę małą telegrafistkę – mówił, trącając łokciem nachmurzonego barona – znałem ją, ale potem sporządniała brzydula! Och, ten goniec z *Galeries Lafayette*, co za cudo! Mój Boże, idzie dyrektor Ministerstwa Handlu. Byle tylko nic nie zauważył. Byłby zdolny zaraportować to mojemu ministrowi, któryby mnie wysłał na zieloną trawkę, zwłaszcza, że, jak się zdaje, i on należy do cechu”. P. de Charlus nie posiadał się z wściekłości. Wkońcu, aby skrócić ten rozpaczliwy spacer, wyjął list i dał go odczytać ambasadorowi, ale zalecił mu dyskrecję, bo udawał, że Charlie jest zazdrosny, aby tem dać do zrozumienia że skrzypek go kocha. I dodał tonem nieoszacowanej dobroci: „Tak, trzeba się zawsze starać, aby robić możliwie najmniej przykrości”.

Zanim wrócimy do sklepu Jupiena, autor pragnie powiedzieć, jak dalece byłoby mu przykro, gdyby czytelnik zgorszył się tak szczególnymi obrazami. Z jednej strony (co jest mniej ważne), wiele osób uważa, że arystokracja stosunkowo bardziej w tej książce podpada pod zarzut degeneracji, niż inne klasy. Gdyby tak i było, nie byłoby w tym nic bardzo dziwnego. Najstarsze rodziny streszczają w końcu w czerwonym i garbatym nosie, w niekształtnym podbródku, swoiste oznaki powszechnie podziwianej „rasy”. Ale pośród tych trwałych i coraz wyrazistszych rysów są inne, niewidoczne: mianowicie skłonności i gusty. Poważniejszym zarzutem – gdyby był uzasadniony – byłoby, że wszystko to jest nam obce i że trzeba czerpać poezję z najbliższej prawdy. Owszem, sztuka dobytą z najpospolitszej rzeczywistości istnieje i dziedzina jej jest może największa. Niemniej prawdą jest, że doniosłe rzeczy, czasem piękno, mogą się rodzić z postępków i z form duchowych tak odległych od naszych uczuć i wierzeń, że nie możemy nawet ich zrozumieć; uderzają nasze oczy niby zjawisko pozbawione przyczyny. Cóż poetyczniejszego niż Xerxes, syn Darjusza, chłostający różgami morze, które pochłonęło jego okręty?

Tyle jest pewne, że Morel, korzystający z władzy, jaką uroda dawała mu nad młodą dziewczyną, powtórzył jej – niby to w swoim imieniu – uwagę barona, wyrażenie bowiem: „postawić herbatę” znikło ze sklepu krawca tak doszczętnie, jak znika na zawsze z salonu bliska osoba, którą ktoś przyjmował codzień, a z którą z tej lub innej przyczyny poróżnił się lub którą pragnie ukryć i spotyka tylko poza domem. P. de Charlus był zadowolony, że „stawianie herbaty” znikło. Ujrzał w tym dowód swego wpływu na Morela i usunięcie jedynej plamki na doskonałościach młodej dziewczyny. Wreszcie, jak wszyscy ludzie tego rodzaju, będąc szczerym przyjacielem Morela i jego pół-narzeczonej, gorącym zwolennikiem ich związku, dość był skłonny wzniecać mniej lub więcej niewinne zwady, poza którymi – i ponad którymi – sam pozostawał olimpijski, niczem jego brat, książę Błazej.

Morel powiedział panu de Charlus, że kocha siostrzenicę Jupiena, że się chce z nią żenić; baron zaś znajdował słodycz w tem, aby towarzyszyć swemu młodemu przyjacielowi na tych wizytach, grając rolę pobłażliwego i dyskretnego teścia. Przepadał za tem.

Osobiście jestem przekonany, że „stawianie herbaty” pochodziło od samego Morela i że w zaślepieniu miłości, młoda krawcowa przejęła od ukochanego zwrot, odbijający trywialnością od jej pięknego wysłowienia. Owo jej wysłowienie, dystygowane wzięcie będące z niem w harmonji, protekcja pana de Charlus, wszystko to sprawiło, że wiele klientek przyjmowało ją jak przyjaciółkę; zapraszały ją na obiad, wciągały ją w swoje kółko, z czego młoda osoba korzystała jedynie za zezwoleniem barona i w dniu które mu odpowiadały. „Młoda krawcowa bywająca w świecie!” powie ktoś, cóż za nieprawdopodobieństwo! Gdyby tak brać, równie mało prawdopodobne było, że Albertyna odwiedzała mnie niegdyś o północy, a teraz żyła ze mną. I może byłoby to nieprawdopodobne z inną, ale nie z Albertyną, nie mającą ojca i matki, wiodącą życie tak swobodne, że z początku wzięłam ją w Balbec za przyjaciółkę cyklisty: mającą jako najbliższą krewną panią Bontemps, która już u pani Swann podziwiała w siostrzenicy jedynie złe maniery, a teraz przymykała oczy, zwłaszcza jeśli to mogło ją uwolnić od Albertyny, zapewniając jej bogate małżeństwo, z którego trochę pieniędzy przeszłoby do ciotki. (W największym świecie, matki wybornie urodzone a biedne, zapewniwszy synowi bogate małżeństwo, żyją na koszt młodej pary, przyjmują futra, auto, pieniądze synowej, której nie lubią, a którą wprowadzają w świat).

Przyjdzie może dzień, że krawcowe (coby mnie wcale nie gorszyło) zaczną bywać w świecie. Siostrzenica Jupiena, będąc wyjątkiem, nie może jeszcze być wróżbą w tej mierze; jedna jaskółka nie stanowi wiosny. W każdym razie, jeżeli owa tak skromna wszakże „karjera” siostrzenicy Jupiena gorszyła niejednych, nie gorszyła z pewnością Morela. Głupota jego na niektórych punktach była taka, że nie tylko uważał tę młodą dziewczynę, tysiąc razy inteligentniejszą od niego, za „głupią” (może tylko dlatego, że go kochała), ale również miał za awanturnice, za szwaczki przebrane i udające damy, bardzo dobrze sytuowane osoby, które ją gościły, a których zaproszenia przyjmowała z całą skromnością. Oczywiście to nie byli Guermantowie, ani nawet ich znajomi; ale to były panie „z

miasta”, bogate, eleganckie, o poglądach na tyle szerokich aby nie uważać za hańbę przyjaźni z krawcową, a równocześnie natyle ciasnych aby znajdować przyjemność w popieraniu dziewczyny, którą Jego Wysokość baron de Charlus odwiedza (w najlepszych intencjach) codzień.

Nic bardziej nie odpowiadało baronowi niż pomysł tego małżeństwa; w ten sposób sądził że nie straci Morela. Zdaje się, że siostrzenica Jupiena niemal jeszcze dzieckiem popełniła „błąd”. I p. de Charlus, wychwalając ją przed Morelem, rad byłby zdradzić to przyjacielowi (który byłby wściekły), aby w ten sposób zasiać niezgodę. Bo p. de Charlus, mimo że piekielnie złośliwy, podobny był do wielu pocziwych ludzi, którzy wychwalają kogoś, aby dowieść własnej dobroci, ale strzegliby się jak ognia zbawiennych a tak rzadko wypowiedzianych słów, zdolnych zapewnić pokój. Mimo to, baron unikał wszelkiej insynuacji, a to z dwóch przyczyn. „Jeżeli opowiem Morelowi – powiadał sobie – że jego narzeczona nie jest bez skazy, zrani to jego ambicję, będzie miał do mnie żal. A potem, ktoś wie, czy on się w niej nie kocha? Jeżeli nie powiem nic, ten słomiany ogień rychło zgaśnie, będę kierował ich stosunkami, będzie ją kochał jedynie tyle, ile ja sobie będę życzył. Jeżeli mu opowiem miniony błąd jego przyszłej, kto mi ręczy, czy Charlie nie jest jeszcze na tyle zakochany, aby się stać zazdrosny? Wówczas z własnej winy flirt bez znaczenia, którym można powodować dowoli, przemienię w wielką miłość, rzecz trudną do kierowania”. Z dwóch tych przyczyn p. de Charlus zachowywał milczenie, które miało jedynie pozory dyskrecji, ale które skądinąd nie było bez zasługi, bo milczeć jest prawie niepodobieństwem dla ludzi jego rodzaju.

Zresztą młoda osoba była urocza, i p. de Charlus, któremu dawała wszystkie przyjemności estetyczne, jakie mógł znajdować w kobietach, byłby chciał mieć setki jej fotografii. Będąc inteligentniejszy od Morela, słyszał z przyjemnością nazwiska pań, które ją przyjmowały a które jego zmysł towarzyski właściwie taksował; ale strzegł się (chcąc zachować władzę) powiedzieć to Morelowi, który z chamską tępotą wciąż wierzył, że poza jego klasą skrzypcową i Verdurinami istnieją jedynie Guermantowie – kilka rodzin omal nie królewskich, wymienionych przez barona – wszystko zaś inne, to tylko „szumowiny” i „pospólstwo”. Te wyrażenia pana de Charlus brał Charlie dosłownie.

Pośród racyj, które czyniły pana de Charlus szczęśliwym z małżeństwa dwojga młodych, była i ta, że siostrzenica Jupiena stałaby się poniekąd rozszerzeniem osobowości Morela, a przez to władzy barona nad skrzypkiem i kontaktu z nim. „Oszukać” w sensie małżeńskim przysłała żonę skrzypka – toby nie obudziło w panu de Charlus najmniejszego skrupułu. Ale być mentorem „młodego małżeństwa”, czuć się groźnym i wszechpotężnym protektorem żony Morela, która, widząc w baronie boga, dowodziłaby przez to, że ukochany Morel wszczepił jej owo pojęcie i zawierałaby w ten sposób coś z Morela, wszystko to urozmaicało panu de Charlus sposób jego panowania. Jego „rzecz”, Morel, stawał się jedną istotą więcej, małżonkiem, czyli przedmiot miłości barona zyskiwał coś innego, nowego, zajmującego. Panowanie to byłoby może nawet większe teraz niż kiedykolwiek. Bo tam gdzie Morel sam – *nagi*, aby tak rzec – opierał się często baronowi, pewien że go łatwo odzyska, ożeniwszy się, bardziej by się bał o los swego małżeństwa, swego domu, swojej przyszłości, tem samem nastęrczałby pragnieniom p. de Charlus większą powierzchnię i łatwiejszy uchwyt. Wszystko to nęciło pana de Charlus, a także myśl, iż w dniu, kiedy by się nudził, mógłby wzniecić wojnę między małżonkami: baron zawsze dosyć lubił batalistyczne obrazy... Jeszcze miłsza była mu myśl o zależności, w jakiej będzie trzymał młode stadło. Miłość pana de Charlus do Morela odzyskiwała rozkoszną świeżość, kiedy sobie powiadał: „żona jego będzie też moją, tak jak on jest mój; będą robili tylko to, co mnie będzie na rękę, będą posłuszni moim kaprysom. W ten sposób, ona będzie nieznanym mi dotąd symbolem tego, o czym prawie zapomniałem a co jest tak słodkie memu sercu: że dla całego świata, dla tych, co będą widzieli że się nimi opiekuję, że im daję mieszkanie, dla mnie samego wreszcie – Morel jest mój”. Ta oczywistość w oczach ludzi i w jego własnych oczach upajała barona bardziej niż wszystko inne. Bo posiadanie przedmiotu miłości jest radością większą jeszcze niż miłość. Często ci, co kryją światu owo posiadanie, czynią to jedynie z obawy, aby im nie wydarto ich ukochania. I przez to ostrożne milczenie szczęście ich ubożeje.

Czytelnik przypomina sobie może, że Morel powiedział niegdyś baronowi, iż pragnieniem jego byłoby uwieść młodą dziewczynę, właśnie tę, siostrzenicę Jupiena; aby tego dopiąć, przyrzekłby jej małżeństwo, poczem zgwałciwszy ją, „dałby nogę”; ale, wobec późniejszych wynurzeń Morela, jakoby zakochanego w tej dziewczynie, p. de Charlus zapomniał o tem. Może zapomniał i sam Morel. Był może nawet istotny przedział między naturą Morela – taką, do jakiej się cynicznie przyznał, może nawet zręcznie przesadził – a chwilą, w której wzięłaby ona górę. W miarę rosnącej zażyłości dziewczyna podobała mu się coraz więcej, kochał ją. Tak mało znał samego siebie, że wyobrażał sobie z pewnością że ją kocha, może nawet na zawsze! Z pewnością, jego początkowa chęć, jego zbrodniczy zamiar trwał nadal, ale pokryte taką warstwą innych uczuć, że nic nie świadczy przeciw szczeroci skrzypka, gdy mówił, że owo występne pragnienie nie było jego prawdziwą pobudką. Był zresztą krótki okres, kiedy, mimo iż sobie tego jasno nie mówił, małżeństwo to zdawało mu się konieczne. Morel cierpiał wówczas na dość silne kurcze w ręce i liczył się z możliwością porzucenia skrzypiec. Ponieważ poza swoją sztuką był nieopisanie leniwy, musiał szukać kogoś koby go utrzymywał; wołał, żeby to była raczej siostrzenica Jupiena niż p. de Charlus; ta kombinacja zostawiała mu więcej swobody, a także większy wybór kobiet, zarówno wśród nowych „podręcznych”, które siostrzenica Jupiena musiałaby mu stręczyć, jak wśród pięknych i bogatych dam, którym onby stręczył ją samą. To, że przyszła jego żona mogłaby być natyle przewrotna, aby się nie zgodzić na takie kombinacje, nie postało ani na chwilę Morelowi w głowie. Zresztą, odkąd kurcz w ręce przeszedł, rachuby zeszyły na dalszy plan, zostawiając miejsce czystej miłości. Wystarczyłyby skrzypce wraz z apanażami od pana de Charlus; skoroby zaś Morel już był żonaty, wymagania barona osłabłyby z pewnością. Małżeństwo było rzeczą pilną, tak dla jego miłości, jak w interesie jego swobody. Poprosił formalnie o rękę młodej dziewczyny, do której decyzji Jupien się odwołał. Zresztą, to nie było potrzebne. Miłość okrywała ją całą, jak włosy, kiedy je rozplotła, jak radość jej omdlałych spojrzeń. U Morela, wszystko prawie co mu było przyjemne lub korzystne rodziło jednakowe wzruszenia i słowa, czasem nawet łzy. Szczerze zatem – jeżeli można do niego zastosować ten wyraz – znajdował dla siostrzenicy Jupiena zwroty równie sentymentalne (sentymentalne są też słowa, jakie młodzi arystokraci, mający ochotę nic nie robić całe życie, zwracają do uroczej córki olbrzymio bogatego parweniusza), jak niegdyś jawnie nikczemne były te, w których, rozmawiając z panem de Charlus, planował jej uwiedzenie i gwałt. Tylko że cnotliwy entuzjazm w stosunku do osoby której pożądał, oraz uroczyście zobowiązania wobec niej miały u Morela swoją przeciwwagę. Z chwilą gdy przestał pragnąć lub kiedy obowiązek zaczął mu być uciążliwy, ta sama osoba stawała się dlań natychmiast przedmiotem antypatii. Antypatia ta, którą umiał usprawiedliwić we własnych oczach, pozwalała mu, po paru atakach nerwów i powrocie do równowagi, dowieść samemu sobie, że, nawet biorąc rzecz wysoce moralnie, wolny jest od wszelkich zobowiązań. Tak np. pod koniec pobytu w Balbec, Morel stracił nie wiem już na co wszystkie pieniądze; nie śmiejąc wyznać tego panu de Charlus, szukał od kogoby je wy dostać. Nauczył się od ojca (który jednak zabronił mu zostać „naciągaczem”), iż w podobnym wypadku wypada napisać do upatrzonej osoby, że się z nią chce „pomówić w sprawie osobistej”, że się ją „prosi o spotkanie w pewnej sprawie”. Magiczna ta formuła tak oczarowała Morela, że byłby, jak sędzę, chętnie stracił pieniądze dla samej przyjemności poproszenia o schadzki „w pewnej sprawie”. Z czasem przekonał się, że ta formuła nie posiada mocy, którą jej przypisywał. Stwierdził, że ludzie, do których nie byłby nigdy napisał w innych okolicznościach, nie kwapią się odpowiedzieć w pięć minut po otrzymaniu listu „w pewnej sprawie”. Jeżeli upłynęło pół dnia, a Morel nie otrzymał odpowiedzi, nie przychodziło mu na myśl, że, nawet biorąc rzeczy najpomyślniej, nagabywany jegomość może nie wrócił do domu, może miał inne pilne listy, mógł być zresztą w podróży, albo chory, etc. Jeżeli – wyjątkowo szczęśliwie – naznaczył spotkanie na drugi dzień, Morel przystępował do ofiary z temi słowami: „Właśnie dziwiłem się, że nie mam odpowiedzi; zastanawiałem się, czy co nie zaszło; zatem zdrowie pańskie jest zawsze dobre, etc”. Tak więc, w Balbec poprosił mnie, żebym go przedstawił temuż Blochowi, dla którego był tak niegrzeczny w kolejce tydzień wprzód; ale nie zdradził się przede mną, że chce

mówić z Blochem „w pewnej sprawie”. Bloch nie zawahał się pożyczyć – lub raczej skłonić pana Nissim Bernard do pożyczania Morelowi – 5.000 franków. Od tego dnia, Morel ubóstwiał Blocha. Zastanawiał się ze łzami w oczach, jak mógłby się odwdzińczyć komuś, kto mu ocalił życie. W końcu podjąłem się uprosić pana de Charlus o 1.000 franków miesięcznie dla Morela; pieniądze te miał Morel przekazywać Blochowi, spłacając go w ten sposób dość szybko. Pierwszego miesiąca, Morel, jeszcze pod wrażeniem dobroci Blocha, przesłał mu bezzwłocznie 1.000 franków; ale potem znalazł najwidoczniej inny, przyjemniejszy użytek dla pozostałych 4.000 franków, bo zaczął mówić bardzo źle o Blochu. Widok Blocha wystarczał, aby mu zepsuć humor. Bloch, zapomniawszy ile ściśle pożyczył Morelowi, upomniał się o 3500 franków w miejsce 4000, coby skrzypkowi oszczędziło 500 franków; na co Morel gotował się odpisać, że wobec podobnego kłamstwa, nietylko nie zapłaci już ani centyma, ale wierzyciel jego może mówić o szczęściu, że go nie skarży do sądu. Kiedy Morel to mówił, oczy mu błyszczały. Nie zadowolili się zresztą twierdzeniem, że Bloch i p. Nissim Bernard nie mogą mieć do niego żadnych pretensyj, a raczej powinnyby się czuć szczęśliwi, że on nie ma pretensyj do nich. Podobno p. Nissim Bernard oświadczył kiedyś, że Thibaut gra nie gorzej od Morela; otóż skrzypek uważał, że powinienby go pozwać, że tego rodzaju gadania szkodzą mu w jego zawodzie; wołał, że nie ma już sprawiedliwości we Francji, zwłaszcza na Żydów (antysemityzm był u Morela naturalnym skutkiem 5000 franków pożyczonych od izraelity), i nie ruszał się już z domu bez rewolweru. Podobny stan nerwowy, po okresie gorącej miłości, miał się niebawem objawić u Morela w stosunku do siostrzenicy Jupiena. P. de Charlus odegrał może bezwiednie pewną rolę w tej odmianie; często bowiem oświadczał, nie wierząc w to ani trochę, ot, aby się droczyć, że skoro się pobiorą, przestanie się nimi zajmować i pozwoli im bujać o własnych siłach. Ta myśl nie wystarczała sama w sobie aby oderwać Morela od narzeczonej; ale utkwiwszy w jego głowie, mogła się kiedyś skombinować z innymi myślami mającymi z nią powinowactwo i zdolnymi – gdy nastąpi połączenie chemiczne – stać się potężnym czynnikiem zerwania.

Nie zdarzało mi się zresztą zbyt często spotykać pana de Charlus i Morela. Czasem weszli już do sklepu zanim pożegnałem księżnę; przyjemność bowiem, jaką znajdowałem w jej towarzystwie była taka, że pod jej urokiem zapominałem nietylko trwożnego oczekiwania poprzedzającego powrót Albertyny, ale nawet godziny tego powrotu.

Z pośród dni, w które zasiadywałem się u pani de Guermantes, wspomnę jeden, upamiętniony drobnym wydarzeniem, którego okrutny sens zrozumiałem aż znacznie później. Tego popołudnia, pani de Guermantes dała mi, wiedząc że lubię te kwiaty, bez turecki przybyły z południa. Kiedy, pożegnawszy księżnę, szedłem do siebie, Albertyna wróciła już; minąłem się na schodach z Anną, którą uderzył silny zapach kwiatów.

– Jakto, jużście wróciły? – rzekłem.

– Ledwo przed chwilą, ale Albertyna miała pisać jakieś listy, odprawiła mnie.

– Nie sądzisz, że ona ma jakieś złe zamiary?

– Ani trochę; pisze, zdaje się, do ciotki. Ale wiesz, ona nie lubi zbyt silnych zapachów, nie będzie zachwycona twoim bzem.

– W takim razie miałem nieszczęśliwą myśl! Powiem Franciszce, żeby go postawiła w sieni koło kuchennych schodów.

– Ty sobie wyobrażasz, że Albertyna nie poczuje od ciebie zapachu bzu? Obok tuberozy to jest najuporczywszy; zresztą, zdaje mi się, że Franciszka poszła za jakimś sprawunkiem.

– W takim razie jak ja się dostanę, właśnie dziś nie wziąłem klucza.

– Och, zadzwonisz poprostu, Albertyna otworzy. Tymczasem może Franciszka wróci.

Pożegnałem Annę. Za pierwszym dzwonkiem Albertyna przysłała otworzyć, co było dość skomplikowane, bo Franciszka zeszła na dół, a Albertyna nie wiedziała jak się zapala światło. W końcu zdołała mnie wpuścić, ale zapach bzu spłoszył ją. Postawiłem kwiaty w kuchni, tak iż przerwawszy list (nie rozumiałem czemu), Albertyna miała czas udać się do mojego pokoju. Zawołała mnie, zastałem ją wyciągniętą na łóżku. Na razie, wydało mi się to znów całkiem naturalne, co

najwyżej nieco mętne, w każdym razie nieznaczące. Albertyna, omal nie przydybana z Anną, zyskała nieco na czasie, gasząc wszystkie światła, idąc do mnie abym nie spostrzegł jej łóżka w nieładzie i udając że właśnie pisała. Ale wszystko to pokaże się później; nigdy zresztą nie dowiedziałem się, czy i to było prawdą.

Naogół, z wyjątkiem tego jednego zdarzenia, wszystko odbywało się normalnie, kiedym wracał od księżnej. Ponieważ Albertyna nie wiedziała, czy nie zechcę z nią wyjść przed obiadem, zastawałem zazwyczaj w przedpokoju jej kapelusz, płaszczyk, parasolkę; zostawiała je tam na wszelki wypadek. Z chwilą gdy wchodząc widziałem te rzeczy, atmosfera domu stawała mi się możliwa. Czułem, że w miejsce rozrzedzonego powietrza wypełnia go szczęście. Smutek mój pierzchał, widok tych drobiazków dawał mi uczucie posiadania Albertyny, biegłem do niej.

W dniu w które nie zachodziłem do pani de Guermantes, przez godzinę poprzedzającą powrót mojej przyjaciółki przeglądałem dla zabicia czasu jakiś album Elstira, książkę Bergotte'a, sonatę Vinteuila.

Dzieła sztuki zwracając się napozór jedynie do wzroku i słuchu, wymagają jednak, aby i nasza rozbudzona inteligencja współpracowała najściślej z temi dwoma zmysłami; dawałem tedy bezwiednie folgę marzeniom, jakie nieznajoma jeszcze Albertyna wzbudziła we mnie niegdyś; marzeniom zgaszonym później przez codzienne życie. Rzucąłem je we frazę muzyka lub w obraz malarza niby w tygiel; syciłem nimi książkę, którą czytałem i bezwątpienia stawała mi się przez to żywsza. Ale i Albertyna zyskiwała na tem przeniesieniu z jednego z dwóch światów, do których mamy dostęp i w których możemy mieścić naprzemian dany przedmiot; umykała się w ten sposób miażdżącemu ciśnieniu materji, aby igrać w płynnych regionach myśli. I przez chwilę ta dziewczyna, którą byłem tak znudzony, budziła we mnie płomienne uczucia. Oblekała w takich momentach kształt jakiegoś dzieła Elstira lub Bergotte'a, oglądana w perspektywie wyobraźni i sztuki rodziła we mnie chwilowy zachwyty.

Niebawem uprzedzano mnie, że Albertyna właśnie wróciła; przyczem wzbronione było wymieniać jej imię, jeżeli nie byłem sam, kiedy naprzykład był u mnie Bloch; zatrzymywałem go wówczas jeszcze przez chwilę, tak aby się nie mógł spotkać z Albertyną. Kryłem się z tem, że ona mieszka u mnie, a nawet że ją przyjmuję u siebie, tak dalece bałem się, aby który z moich przyjaciół nie zadurzył się w niej, nie czekał na nią na ulicy, lub aby, spotkawszy się z nim w korytarzu lub w przedpokoju, Albertyna nie mogła dać jakiego znaku i umówić spotkania. Potem słyszałem szelest sukni: to Albertyna szła do swego pokoju; przez delikatność (a z pewnością także przez owe względy, które niegdyś, w czasie naszych obiadów w la Raspelière, kazały jej unikać wszystkiego coby mogło podsycić moją zazdrość) nie wchodziła do mnie, gdy wiedziała że nie jestem sam. Ale zrozumiałem naraz, że nietylko dlatego. Przypominałem sobie: znałem pierwszą Albertynę, potem nagle zmieniła się w inną, tę którą znałem dziś. I tę zmianę mogłem przypisać jedynie sobie. Wszystko to, co byłaby mi wyznała łatwo – nawet chętnie, wówczas gdyśmy byli z sobą jak dobrzy koledzy – zamarło na jej ustach, odkąd sądziła, że ją kocham, lub odkąd, nie nazywając może tego wręcz miłością, odgadła inkwizytorskie uczucie, które chce wiedzieć, cierpi że wie i sili się dowiedzieć więcej. Od tego dnia, ukrywała przedemną wszystko. Wracała z pod mojego pokoju, jeżeli sądziła że jestem z kimś (często nawet nie z przyjacielem, ale z jakąś przyjaciółką); ona, której oczy tak się ożywiały niegdyś, kiedy mówiłem o jakiejś młodej dziewczynie: „Trzeba się starać ją ściągnąć, tak bym miała ochotę ją poznać. – Ale ona jest, jak ty nazywasz, »w podejrzanym rodzaju«. – Właśnie, to będzie tem zabawniejsze”.

W takiej chwili zdołałbym się może dowiedzieć wszystkiego. I nawet kiedy tam, w kasynie, odkleiła piersi od piersi Anny, nie sądzę aby to było z mojego powodu; raczej z powodu Cottarda, który mógłby je (tak z pewnością myślała) obmówić. A jednak wówczas już zaczynała sztywnieć, nie mówiła już tak swobodnie jak wprzód, stała się oględna w gestach. Stopniowo zaczęła unikać wszystkiego, coby mnie mogło zaniepokoić. Partjom swojego życia, których nie znałem, dawała charakter naiwnie przezemnie przyjmowanej niewinności. Teraz zmiana była całkowita; o ile nie

byłem sam, Albertyna szła prosto do siebie, nietyle dlatego aby mi nie przeszkadzać, ale aby pokazać, że jej nikt inny nie interesuje. Jednego nie zrobiłaby już dla mnie nigdy, tego co zrobiłaby wówczas, kiedy mi to było obojętne – i zrobiłaby bez trudu właśnie dla tej przyczyny – mianowicie tego, żeby się przyznać. Na zawsze już będę musiał, jak sędzia śledczy, wyciągać niepewne konkluzje z niebacznych słów, które dałoby się może wytłumaczyć bez doszukiwania się winy. I zawsze będzie we mnie czuła zazdrośnika i sędziego.

Nad słuchując kroków Albertyny z owym lubem poczuciem że nie wyjdzie już tego wieczora, podziwiałem fakt, że dla tej młodej dziewczyny, o której poznaniu niegdyś nie śmiałem marzyć, wracać codziennie do *siebie*, znaczy właśnie wracać do mnie. Tajemnicze i zmysłowe szczęście – cząstkowe i ulotne – którego doświadczałem w Balbec owego wieczora, kiedy Albertyna nocowała w hotelu, skompletowało się, ustabilizowało, wypełniało moje mieszkanie – niegdyś puste – trwałym zapasem słodczy, domowej, niemal rodzinnej, promieniując nawet w korytarz; słodczy którą karmiły się spokojnie wszystkie moje zmysły, to faktycznie, to (kiedy byłem sam) przez wyobraźnię i w oczekiwaniu powrotu Albertyny. Kiedy usłyszałem, że się zamykają drzwi do jej pokoju, wówczas, o ile był u mnie ktoś z przyjaciół, starałem się go wyprawić czempredzej, wyprowadzając go aż na schody, czasem nawet schodziłem z nim kilka stopni. Przyjaciel mówił mi, że się zaziębie, zwracał uwagę że nasz dom jest lodowaty, pełen przeciągów i że drogo trzeba mu płacić za to aby tu zamieszkał. Skarżyli się na to zimno dlatego, że się dopiero zaczęło i że jeszcze do niego nie przywykli; ale we mnie, z tego samego powodu, wzniecało ono radość, wraz z bezwiednym wspomnieniem pierwszych zimowych wieczorów, kiedy wróciwszy niegdyś z podróży, szedłem do *café concert*, aby znów skosztować zapomnianych rozkoszy Paryża. Toteż, rozstawszy się z dawnym kolegą, nucąc wbiegałem na schody i wracałem do mieszkania. Ciepła pora, pierzchając, zabrała ze sobą ptaki. Ale zastąpili je inni muzycy, niewidzialni, wewnętrzni. I oczerniony przez Blocha lodowaty wiatr, dmący rozkosznie przez nieszczelne drzwi, witały z uniesieniem – jak ptaki leśne witają piękne letnie dni – bez końca refreny Fragonarda, Mayola lub Paulusa. Albertyna wychodziła naprzeciw mnie na korytarz. „Czekaj, pójde się rozebrać, a tymczasem przyślę ci Annę; wpadła na chwilę, żeby ci powiedzieć dobranoc”. I nie zdąwszy jeszcze szarego woala zwisającego z szynszylowego toczka (dałem go jej w Balbec) znikła w swoim pokoju, tak jakby odgadła, że Anna, czuwająca nad nią z mojego zlecenia, miała, podając mi szczegóły, wspominać o spotkaniu znajomej osoby, wprowadzić coś konkretnego w mgliste regiony, będące terenem spaceru, który im zajął cały dzień a którego nie umiałem sobie wyobrazić.

Wady Anny zaakcentowały się; nie była już taka miła jak wówczas kiedy ją poznałem. Był w niej teraz podskórnie jakiś cierpki niepokój, gotowy zerwać się jak wichur morski, gdybym tylko wspomniał o czemś, co było przyjemne dla Albertyny i dla mnie. Nie przeszkadzało to, że Anna mogła być lepsza dla mnie, kochać mnie bardziej niż ludzie miłsi od niej. Często miałem tego dowody. Ale najlżejsza oznaka czyjegoś szczęścia, o ile to szczęście nie płynęło z niej, budziło w niej odruch nerwowy, przykry jak łoskot zbyt mocno zamykanych drzwi. Uznawała cierpienia, w których nie miała udziału, ale nie uznawała takich przyjemności; kiedy widziała że jest chory, martwiła się, współczuła, pielęgnowałaby mnie w potrzebie. Ale kiedy miałem przyjemność, choćby tak błahą jak wyciągnąć się błogo, zamykając książkę i rzec: „Och, spędziłem dwie rozkoszne godziny, czytając zajmującą książkę”, słowa te, które sprawiłyby przyjemność matce, Albertynie, Robertowi, budziły w Annie rodzaj niezadowolenia, może poprostu nerwowej niechęci. Moje przyjemności zawsze drażniły ją i nie mogła tego ukryć. Wad tych dopełniały inne, poważniejsze; pewnego dnia, kiedy mówiłem o owym młodym człowieku, będącym niegdyś tak blisko z ich „bandą” w Balbec, tak biegłym w sprawach wyścigów, gier, golfa, a tak ciemnym we wszystkim innym, Anna zaśmiała się szyderczo: „Pan wie, że jego ojciec coś ukradł, omal nie dostał się do kryminału. Chęć brawurować, ale ja z przyjemnością opowiadam to całemu światu. Chciałabym, żeby mnie zaskarżyli o potwarz. Ładne rzeczy mogłabym zeznać!” Oczy jej błyszczały. Otóż, dowiedziałem się, że ojciec młodego człowieka nie dopuścił się żadnego przestępstwa i że Anna wiedziała o tem lepiej od innych. Ale

sądziła że syn wzgardził nią, szukała tedy czegoś, coby go mogło zabołec, przynieść mu wstyd, wyroiła jakieś zeznania, które miała składać w imaginacji, i póty haftowała sobie różne szczegóły, aż w końcu zatraciła świadomość ich fałszu. Toteż w obecnej fazie (pominąwszy nawet krótkie i zapamiętałe nienawiści Anny) byłbym wołał jej nie widywać, choćby z powodu tej nieżyczliwej podejrzliwości, która lodowatą i cierpką strefą niechęci okoliła prawdziwą jej naturę – cieplejszą i lepszą. Ale wiadomości, które ona jedna mogła mi dawać o Albertynie, były mi zbyt cenne, abym chciał zaniedbać tak rzadką sposobność ich zdobycia. Anna wchodziła, zamykała drzwi i zaczynała swoją relację. Spotkały przyjaciółkę, o której Albertyna nigdy mi nie wspominała. „O czym mówiły z sobą? – Nie wiem, bo skorzystałam z tego, że Albertyna nie jest sama, aby iść kupić włóczki. – Kupić włóczki? – Tak, Albertyna prosiła mnie o to. – Racja więcej żeby nie iść; umyślnie chciała cię oddalić. – Nie, prosiła mnie o to, zanim spotkałyśmy przyjaciółkę. – A!” – oddychałem z ulgą. Za chwilę oblegało mnie z powrotem podejrzenie: kto wie, czy Albertyna nie umówiła zgóry schadzki z przyjaciółką i nie skombinowała pretekstu, aby z nią zostać sama? Zresztą, skąd pewność, że Anna mówi całą prawdę? Może jest w zмовie z Albertyną? Kochamy – powiadałem sobie niegdyś w Balbec – tem bardziej, im bardziej jesteśmy zazdrośni o postępkę danej osoby; czujemy, że gdyby nam opowiedziała wszystko, łatwo może wyleczylibyśmy się z miłości. Daremnie ukrywamy zazdrość; osoba, która ją budzi, przenika ją rychło i ma się na baczności. Stara się zmylić nas, ukrywając to, coby nas mogło unieszczęśliwić, i myli nas w istocie, bo o ile ktoś nie ma uwagi wyteżonej w tym kierunku, czemuby jakieś obojętne słowa miały zdradzić ukryte w nich kłamstwa; nie odróżniamy tych słów od innych; kobieta mówiła je ze strachem, my słuchamy ich nieuważnie. Później, kiedy znajdziemy się sami, wrócimy do tych słów i nie wydadzą się nam już całkiem zgodne z rzeczywistością. Ale czy je sobie dobrze przypominamy? Rodzi się w nas samorzutna wątpliwość co do ścisłości naszej pamięci, tak jak w pewnych stanach nerwowych nie można sobie przypomnieć, czy się zasunęło rygiel – i to równie za pięćdziesiątym razem jak za pierwszym; możnaby bodaj bez końca powtarzać daną czynność, nie osiągając nigdy ścisłego i zbawczego utrwalenia jej w pamięci. Ale tu przynajmniej możemy zamknąć pięćdziesiątą i pierwszą drzwi; podczas gdy owe niepokojące słowa żyją w przeszłości w niepewnym brzmieniu, którego nie mamy mocy wskrzesić. Wówczas zwracamy tem baczniejszą uwagę na inne słowa, które nie kryją nic, jedynem zaś lekarstwem – którego nie chcemy – byłoby nie wiedzieć nic, aby nie chcieć wiedzieć lepiej.

Z chwilą gdy nasza zazdrość wyszła na jaw, ta co jest jej przedmiotem widzi w niej brak ufności uprawniający oszukiwanie. Zresztą, w żądzy dowiedzenia się, my pierwsi zaczęliśmy kłamać, oszukiwać. Anna, Aimé, przyrzekają nam, że nic nie zdradzą, ale czy dotrzymają? Bloch nie mógł niczego przyrzec, bo nie wiedział. Niech tylko Albertyna porozmawia z nimi, rychło, przy pomocy tego co Saint-Loup nazywał „krzyżowym ogniem”, dowie się, że kłamię, gdy twierzę że jestem obojętny na jej postępkę i nie zdolny szpiegować. W ten sposób, drobny fragment odpowiedzi jaki mi przyniosła Anna, przez to że zjawił się po mojej nieskończonej i stałej niepewności (niepewności tego, co robi Albertyna) był zbyt nieokreślony aby zadać ból; był dla zazdrości tem, czem dla zgryzoty są początki zapomnienia i ich kojąca mgła. Ale ten fragment odpowiedzi rodził natychmiast nowe pytania. Zgłębiając cząstkę wielkiej strefy rozciągającej się dokoła mnie, zdołałem jedynie odsunąć owo niepoznawalne, jakim jest dla nas istotne życie drugiej osoby, kiedy je chcemy sobie naprawdę wyobrazić. Wypytywałem dalej Annę, podczas gdy Albertyna, przez dyskrecję i aby mi zostawić wszelką swobodę badania (czy domyślała się czego?), umyślnie długo się przebierała w swoim pokoju.

– Zdaje mi się, że wujostwo Albertyny bardzo mnie lubią – powiadałem niebacznie, zapominając o charakterze Anny.

Natychmiast ujrzałem, że jej lepka twarz zmienia się; niby sfermentowany sok zdawała się zmacona na zawsze. Usta stały się gorzkie. Nie zostało już w Annie nic z owej młodzieńczej wesołości, którą, jak cała jej gromadka i mimo swej chorowitości, roztaczała w pierwszym roku mego pobytu w Balbec, a która teraz zniknęła u niej tak szybko. Prawda, że Annie przybyło od tego czasu

kilka lat. Ale miałem mimowoli wskrzesić tę wesołość, zanim Anna, która spieszyła się do domu na obiad, pożegnała się ze mną.

– Jest ktoś, kto cię dziś przedemną szalenie chwalił – rzekłem.

Natychmiast promień radości rozświetlił jej oczy: robiła wrażenie, że mnie naprawdę kocha. Unikała mego spojrzenia, ale śmiała się w przestrzeń oczami, które nagle stały się całkiem okrągłe. „Kto taki?” – pytała z naiwnym i łakomym zainteresowaniem. Wymieniałem osobę: ktokolwiek by to był, Anna czuła się szczęśliwa.

Potem przychodziła godzina rozstania, Anna żegnała się. Albertyna zjawiała się w negliżu, miała na sobie jakiś ładny peniuar krepdeszynowy, lub jedną z japońskich sukien, których szczegóły uzyskałem od pani de Guermantes, pewnych zaś dodatkowych wyjaśnień w tej mierze dostarczyła mi pani Swann, w liście zaczynającym się od słów: „Po pańskiej długiej absencji, czytając pański list w przedmiocie moich *tea gown*, miałam wrażenie że obcuję z duchem...”.

Albertyna miała na nogach czarne trzewiczki wyszywane brylancikami (Franciszka nazywała je zjadliwie „kapcie”), całkiem podobne do tych, które pani de Guermantes nosiła w domu wieczorem: Albertyna zauważyła to przez okno. Podobnie, trochę później, Albertyna miała pantofelki jedno złocone *chevreau*, drugie szynszylowe, a widok ich był mi słodki, bo jedno i drugie były niby znakiem (inne trzewiczki nie miałyby tej wymowy), że ona mieszka u mnie. Miała też rzeczy nie pochodzące odemnie, na przykład piękny złoty pierścionek. Podziwiałem na nim rozpostarte skrzydła orle. „To od ciotki, rzekła. Mimo wszystko, ciocia jest czasem dobra dla mnie. To mnie postarza, bo dała mi go z okazji skończonych dwudziestu lat”.

Albertyna miała do wszystkich tych ładnych rzeczy pociąg o wiele żywszy niż księżna. Jak wszelka przeszkoda utrudniająca posiadanie (naprzykład dla mnie choroba, która mi czyniła podróże czemś tak trudnym i upragnionym), ubóstwo, hojniejsze w tem od bogactwa, daje kobietom, zamiast toalety której nie mogą sobie sprawić, pragnienie tej toalety, zawierające jej istotną, szczegółową, głęboką znajomość. Oboje – Albertyna, bo nie mogła sobie pozwolić na te rzeczy, ja, bo zamawiając je, starałem się zrobić jej przyjemność – byliśmy niby dwaj studenci, znający zgóry obrazy, które zamierzają obejrzeć w Dreźnie lub w Wiedniu. Natomiast bogate kobiety, pośród mnóstwa swoich kapeluszy i sukien, są jak owi zwiedzający, którym spacer po muzeum – nie poprzedzony żadnym pragnieniem – daje jedynie uczucie oszołomienia, zmęczenia i nudy.

Jakiś toczek, płaszcz sobolowy, peniuar od Douceta z różowo podszytymi rękawami, jakiejż nabierały ważności dla Albertyny, która je spostrzegła, zapragnęła ich i, dzięki wyłączości i ścisłości swego pragnienia, zizolowała je ze wszystkimi szczegółami w próżni, na której się cudownie odcinała podszewka lub wstążka. Toż samo, na inny sposób, osiągałem ja, chodząc do pani de Guermantes, dla zdobycia wiedzy na czym polega odrębność, wyższość, szyk danej rzeczy oraz niepodobny do naśladowania fason wielkiego krawca. Owej wagi ani uroku nie miały te rzeczy z pewnością dla księżnej, sytej zanim jeszcze nabrała apetytu; i nie miałyby ich dla mnie, gdybym oglądał to wszystko kilka lat wprzód, towarzysząc jakiejś elegantce w nudnej wizycie u krawcowej.

Stopniowo Albertyna sama stawała się elegantką. Bo i każda rzecz, którą dla niej zamawiałem, była w swoim rodzaju najładniejsza, ze wszystkimi wyrafinowaniami godnymi księżnej de Guermantes lub pani Swann, i rzeczy tych Albertyna zaczynała mieć dużo. Ale to nie miało wielkiego znaczenia z chwilą kiedy każdą z nich pokochała zgóry i każdą oddzielnie.

Kiedy ktoś podziwiał kolejno to jednego to znów innego malarza, może w końcu mieć dla całego muzeum podziw gorący, bo złożony z szeregu wyłącznych w swoim czasie miłości, które wreszcie spotkały się i pogodziły z sobą.

Albertyna nie była zresztą bynajmniej pustą lalką; czytała dużo kiedy była sama, a mnie czytywała głośno kiedyśmy byli razem. Zrobiła się nadzwyczaj inteligentna. Powiadała, myśląc się zresztą: „Przeraża mnie myśl, że bez ciebie zostałabym głupia. Nie zaprzeczaj. Otworzyłeś mi świat myśli, którego nie podejrzewałam, i to niewiele czem się stałam zawdzięczać tylko tobie”.

Widzieliśmy, że podobnie mówiła niegdyś o moim wpływie na Annę. Czy która z nich czuła coś dla mnie? I czym były same w sobie, ta Anna, ta Albertyna? Aby się o tem dowiedzieć, trzeba by was unieruchomić, nie żyć już w tem nieustannem oczekiwaniu was, w którym stajecie się wciąż inne; trzeba by was już nie kochać, aby was utrwalić, trzeba by nie znać już waszego nieskończonego i wciąż zaskakującego zjawiania się o wy, młode dziewczęta, o wciąż drgający promieniu, w którym drżymy, widząc was zjawiające się raz po raz, za ledwie mogąc was poznać w zawrotnej chyżości światła. Tej chyżości nie znalazłbyśmy może, wszystko wydawałoby się nam nieruchome, gdyby głos płci nie kazał nam biec ku wam, wy złote krople wciąż tak odmienne i wciąż przechodzące nasze oczekiwanie! Za każdym razem, młoda dziewczyna tak mało podobna jest do poprzedniej siebie (ile że, z chwilą gdy ją oglądamy, drze w strzępy naszą pamięć o niej i nasze pragnienie), że ciągłość charakteru, jakiego jej użyczamy, jest jedynie fikcją, dogodniejszą formą mówienia. Powiedziano nam, że jakaś piękna dziewczyna jest tkliwa, kochająca, pełna najdelikatniejszych uczuć. Wyobraźnia nasza wierzy temu na słowo: kiedy ujrzymy tę dziewczynę pierwszy raz w puszystym kręgu blond włosów, z tarczą różowej twarzy, niemal lękamy się, że ta zbyt cnotliwa siostra ostudzi nas samą swoją cnotą, że nigdy nie będzie dla nas kochanką jakiejśmy pragnęli. Ileż zwierzeń, na wiarę tej szlachetności serca, robimy jej od pierwszej godziny; ile projektów snujemy razem! Ale za kilka dni żałujemy tych wynurzeń, bo różana dziewczę odzywa się za drugim razem jak furja lubieżności. W kolejnych fizjognomjach, jakie po kilkodniowej wibracji ukazuje nam przerywane różowe światło, nie jest nawet pewne, czy jakieś zewnętrzne *movimentum* nie zmieniło wyglądu tych dziewcząt; i to mogło się być zdarzyć z mojemi przyjaciółkami z Balbec.

Sławią nam słodycz, czystość jakiejś dziewczicy. Ale potem ów ktoś czuje, że coś ostrego trafiłoby nam lepiej do smaku i radzi jej aby się okazała śmielsza. Sama w sobie, czy była raczej tą niż tamtą? Może nie, ale była zdolna dostroić się do tyluż rozmaitych możliwości w zawrotnym biegu życia. Z inną, której cały powab mieścił się w czemś nieubłaganem (co spodziewaliśmy się jednak ugiąć), jak naprzykład owa groźna skoczka w Balbec, muskająca stopami czaszki przerażonych starszych panów, jakież zawód! W chwili gdy jej mówimy czułości, podsycane wspomnieniem tyłu jej brutalności dla innych, oglądamy nagle inną twarz i słyszymy na wstępie zwierzenie, że jest nieśmiała, że ze strachu nie umie się znaleźć z kimś widzianym po raz pierwszy i że dopiero po jakich dwóch tygodniach mogłaby z nami rozmawiać spokojnie. Stał zmieniła się w bawełnę, nie mamy czego próbować kruszyć, skoro sama z siebie traciła wszelki odpór. Sama z siebie, ale może z naszej winy, bo nasze czułe słowa skierowane do wcielonej Brutalności, podsunęły jej – może bez specjalnego wyrachowania z jej strony – tkliwe akcenty.

To co nam sprawiło zawód nie było zresztą tak niezręczne, wdzięczność bowiem za tyle słodyczy miała nas może bardziej zobowiązać niż rozkosz poskromienia zuchwalstwa. Zapewne, może przyjdzie dzień, w którym nawet tym promiennym dziewczętom przyznamy charaktery bardzo określone, ale to dlatego, że przestaną nas interesować, że ich widok nie będzie już dla naszego serca czemś odmiennem od naszych nadziei, czemś co zostawi w tem sercu wstrząs wciąż nowego wcielenia. Ciągłość ich będzie wynikiem naszej obojętności, która je powierzy sądowi intelektu. Intelekt zresztą nie wyda o wiele kategorijszego wyroku; uznawszy bowiem, że jakiejś wady, przeważającej u jednej, druga na szczęście nie ma, spostrzeżemy iż wadę tę przeciwważył jakiś szacowny przymiot. Tak iż z fałszywego sądu inteligencji (wkraczającej dopiero wówczas, kiedy się przestajemy kimś interesować) wyjdą określone i stałe charaktery młodych dziewcząt, mówiące nam nie więcej, niż zdumiewające codziennie oglądane twarze, kiedy, w oszałamiającej chyżości naszego oczekiwania, owe dziewczęta ukazywały się co dnia, co tygodnia, zbyt różne od siebie na to abyśmy mogli – w tym niepowstrzymanym pędzie – klasyfikować i wyznaczać rangi. Co się tyczy naszych uczuć, mówiliśmy aż nazbyt często o nich, aby musieć powtarzać, że miłość bywa często jedynie skojarzeniem obrazu młodej dziewczyny (inaczej stałaby się nam rychło nieznośna) z biciem serca nieodłącznym od nieskończonego, daremnego oczekiwania gdy panienka „wystawiła nas do wiatru”. Wszystko to jest prawdą nietylko dla młodych ludzi z przerostem wyobraźni wobec zmiennych młodych dziewcząt.

W tym momencie naszego opowiadania, zdaje się (dowiedziałem się o tem później), że siostrzenica Jupiena zmieniła zdanie o Morelu i o panu de Charlus. Szofer mój, podbijając bębenka jej miłości do Morela, zachwalał bezmiar delikatności skrzypka, w który była aż nazbyt skłonna wierzyć. Z drugiej strony, Morel nie przestawał jej malować roli kata, jaką p. de Charlus odgrywał w stosunku do niego, co ona, nie odgadując miłości barona, przypisywała wadom jego charakteru. Musiała zresztą odczuć tyrańską obecność p. de Charlus przy wszystkich ich spotkaniach. A na poparcie tego wszystkiego, słyszała jak panie z towarzystwa mówiły o okrutnej złośliwości barona. Otóż, od niedawna, poglądy jej przeobraziły się całkowicie. Odkryła u Morela (nie przestając go kochać dlatego) otchłanie złości i perfidji, wyrównane zresztą częstą słodyczą i prawdziwą tkliwością; a u pana de Charlus niezaprzeczoną i olbrzymią dobroć, pomieszaną z brutalstwem, którego nie znała. Tak więc, o tem czym byli naprawdę skrzypek i jego protektor, nie miała jaśniejszego sądu niż ja o Annie, którą wszakże widywałem codziennie i o Albertynie która żyła ze mną.

Wieczorem, o ile Albertyna nie czytała głośno, raczyła mnie muzyką, grała ze mną w warcaby lub rozmawiała. Przerywałem zwykle i warcaby i rozmowę, aby ją całować. Stosunki nasze miały prostotę, która czyniła je wytchnieniem. Sama pustka życia Albertyny rodziła w niej gorliwość i uległość w jedynych rzeczach, jakich od niej żądałem. Za tą dziewczyną – niby za purpurowym światłem, kładącym się u stóp firanek w Balbec, podczas gdy na dworze buchał koncert orkiestry – mieniły się perłowo modre falowania morza. Ona, w której pojęcie *mnie* żyło tak poufale, że po ciotce byłem może osobą, którą najmniej odróżniała od siebie samej, czy to była w istocie ta dziewczyna, którą ujrzałem pierwszy raz w Balbec, w płaskiej czapeczce, z natarczywymi i roześmianymi oczami, nieznaną jeszcze, dwuwymiarową jak sylweta odcinająca się na fali? Kiedy odnajdziemy takie obrazy przechowane w pamięci, zdumiewamy się ich różnością od istoty którą znamy; pojmujemy jaką pracę nad modelowaniem jej wykonywa co dnia przyzwyczajenie. W uroku jaki Albertyna zachowała w Paryżu, przy moim kominku, żyło jeszcze pragnienie, jakie we mnie obudził zuchwały i kwitnący orszak rozwijający się wzdłuż plaży. Jak Rachela zachowała dla Roberta, nawet kiedy jej kazał opuścić teatr, urok teatru, tak w tej Albertynie, zamkniętej nakształt mniszki w moim domu, zdala od Balbec, skąd ją pospiesznie zabrałem, przetrwało wzruszenie, zamęt klasyfikacji społecznej, niespokojna próżność, wędrowne pragnienia z życia nadmorskich kąpielisk.

Albertyna żyła w zupełnym zamknięciu; czasem nie zapraszałem jej nawet wieczorem do swego pokoju. Ta Albertyna, za którą niegdyś wszyscy gonili, którą tak trudno było mi złapać pomykającą na rowerze, której nawet windziarz nie umiał mi sprowadzić, ledwie zostawiając mi cień nadziei, i na którą mimoto czekałem całą noc, czyż nie była tam, w Balbec, niby wielka artystka płomiennej plaży, wlokąca smugę zazdrości kiedy się posuwała po tej naturalnej scenie, nie odzywając się do nikogo, potracając miejscowych bywalców, panując nad przyjaciółkami. I ta upragniona aktorka czyż nie była tą samą, która, wydarta przezemnie scenie, zamknięta u mnie, znajdowała się – zabezpieczona od pragnień ludzkich szukających jej odtąd na próżno – to w moim, to w swoim pokoju, gdzie zabawiła się rysunkiem lub cyzelerstwem.

Bezwątpienia, w pierwszych dniach w Balbec, zdawało się, że Albertyna porusza się na płaszczyźnie równoległej do tej na której żyłem, ale zbliżającej się do niej (w ów dzień u Elstira), potem zespolonej z nią, w miarę postępu naszych stosunków, w Balbec, w Paryżu, i znowu w Balbec. Cóż za różnica zresztą, te dwa obrazy Balbec – za pierwszym i następnym pobytom – obrazy utworzone z tych samych will, z których wychodziły te same dziewczęta, nad tem samym morzem! W przyjaciółkach Albertyny z drugiego pobytu, tak dobrze mi znanych, o zaletach i wadach tak ostro wrytych w ich twarzach, czyż mogłem odnaleźć owe świeże i tajemnicze nieznanome, którym niegdyś wystarczało zaskrzypić na piasku furką w ogrodzie i musnąć nią drżące tamaryszki, aby przyprawić moje serce o drzenie! Wielkie ich oczy zresorbowały się później, z pewnością dlatego, że dziewczęta przestały być dziećmi; ale także dlatego, że te urocze nieznanome, czarujące aktorki owego romantycznego pierwszego sezonu, co do których nie przestawałem zbierać informacji, nie miały

już dla mnie tajemnicy. Stały się posłuszne moim kaprysom, ot, zwykle świeżo zakwitłe dziewczęta, wśród których czułem się nie na żarty dumny, zem uszczknął i zabrał sobie najpiękniejszą różę.

Między temi dwiema dekoracjami Balbec, tak różnemi od siebie, było kilka lat paryskich, których ciąg znaczył się tyloma wizytami Albertyny. Widziałem ją w rozmaitych latach mego życia i w rozmaitym charakterze, co mi pozwalało odczuć piękność dzielących owe lata przestrzeni – długie okresy w których nie widywałem jej, na których przeźroczyściej głębi znajdująca się przedemną różowa istota rysowała się z tajemniczymi cieniami i z potężną plastyką. Wynikała ona zresztą ze zsumowania nietylko kolejnych obrazów wyrażających dla mnie Albertynę, ale także wielkich przymiotów inteligencji i serca, wad charakteru – i tych i tych porówni przezemnie niepodejrzewanych – jakimi Albertyna, w tem kwitnieniu, mnożeniu samej siebie w mięsistej bujności ciemnych kolorów, wzbogaciła swoją naturę, niegdyś prawie nijaką, a teraz trudną do zgłębienia. Bo istoty, nawet te o których tyle marzyliśmy, że się nam wydają tylko obrazem, jakąś odcinającą się na zielonkawem tle postacią Benozza Gozzoli, wobec której byliśmy skłonni wierzyć, że wszystkie różnice zależały od punktu z jakiego patrzyliśmy na nie, od odległości jaka nas od nich dzieliła, od oświetlenia wreszcie – istoty te, zmieniając się w stosunku do nas, zmieniają się i same w sobie. W twarzy, niegdyś tak poprostu odcinającej się na tle morza, nastąpiło jakby wzbogacenie, okrzepnięcie, przyrost objętości. Zresztą, nietylko przedwieczne morze żyło dla mnie w Albertynie, ale czasem i uśpienie morza na brzegu w nocie księżycowe.

Bo czasem, kiedy wstałem aby iść po książkę do gabinetu ojca, Albertyna mówiła że chce się przez ten czas wyciągnąć. Była tak zmęczona swoim rannym i popołudniowym spacerem, że nawet gdy opuścił pokój tylko na chwilę, zastawałem ją uśpioną: nie budziłem jej. Leżąc jak długa na łóżku, w pozie tak naturalnej że niktby jej nie wymyślił, robiła wrażenie długiej kwitnącej łodygi. I tak było w istocie: jakgdyby śpiąc stała się rośliną, odnajdywałem w owych chwilach przy niej zdolność marzenia, którą miałem tylko w jej nieobecności. Dzięki temu, sen jej ziszczał poniekąd możliwość miłości. Będąc sam, mogłem myśleć o niej, ale brakowało mi jej, nie posiadałem jej. Gdy była obecna, mówiłem do niej, ale byłem zbyt oderwany od samego siebie aby móc myśleć. Gdy spała, nie potrzebowałem mówić, wiedziałem że nie patrzy na mnie, nie musiałem już żyć na powierzchni siebie.

Zamykając oczy, tracąc świadomość, Albertyna zrzucała z siebie kolejno cechy swego człowieczeństwa, przynoszące mi tyle zawodów od dnia gdy ją poznałem. Ożywiało ją już tylko nieświadome życie roślin, drzew, życie bardziej inne od mojego, dziwniejsze, a mimo to bardziej należące do mnie. Jej *ja* nie wymykało się co chwilę – jak wówczas kiedyśmy rozmawiali – ujściami zatajonej myśli i spojrzenia. Wciągnęła w siebie wszystko co z niej było zewnątrz; schroniła się, zamknęła, streściła w swoim ciele. Trzymając ją w rękach pod swoim spojrzeniem, miałem wrażenie, że ją posiadam całą; wrażenie którego nie miałem, kiedy nie spała. Życie jej było mi podległe, wionęło ku mnie lekkim oddechem.

Słuchałem szeptu tej tajemniczej emanacji, którą był jej sen, łagodnej jak wietrzyk morski, czarodziejskiej jak blask księżyca. Póki trwał, mogłem marzyć o niej, a jednak na nią patrzeć; kiedy zaś sen stawał się głębszy, mogłem dotykać jej, całować ją. To czegom doznawał wówczas, to była miłość w obliczu czegoś tak czystego, tak niematerjalnego w odczuwaniu, tak tajemniczego, jak gdybym się znajdował wobec nieożywionych piękności natury. I w istocie, kiedy zasnęła nieco głębiej, przestawała być jedynie rośliną; sen jej, nad którego brzegiem marzyłem ze świeżą rozkoszą, nigdy nie zdolny się nią znużyć, mogąc się nią sycić nieskończenie, to był dla mnie cały krajobraz. Sen jej kładł koło mnie coś równie spokojnego, równie zmysłowo rozkosznego jak owe nocie księżycowe w zatoce Balbec, spokojnej wówczas jak jezioro, kiedy gałęzie ledwie się poruszają, kiedy, wyciągnąwszy się na piasku, słuchałoby się bez końca łamiącej się fali.

Wchodząc do pokoju, zatrzymałem się w progu, nie śmiając zakłócać ciszy; nie słyszałem też innego szmeru prócz oddechu zamierającego na jej wargach w regularnych odstępach, niby odpływ morza, ale bardziej senny i łagodny. I w chwili gdy moje ucho przejmowało ten boski szmer, miałem

uczucie, że skupia się w nim cała osoba, całe życie uroczej branki, spoczywającej tu przede mną. Pojazdy mijają hałaśliwie ulicę, a czoło Albertyny pozostawało równie gładkie i czyste, oddech równie lekki, ograniczony do najprostszego wydechania koniecznego powietrza. Potem, widząc że nie zmacę jej snu, zbliżałem się ostrożnie, siadałem na krześle obok łóżka, potem na samym łóżku.

Spędzałem urocze wieczory na rozmowie i grach z Albertyną, ale nigdy nie były one równie słodkie, jak widok jej snu. Mimo iż gawędząc, grając w karty, miała jakąś naturalność, której żadna aktorka nie umiałaby naśladować, sen jej był dla mnie naturalnością wyższego rzędu. Włosy jej, opadłszy wzdłuż różowej twarzy, rozsypały się na łóżku; czasem jakiś odosobniony i prosty kosmyk dawał ten sam efekt malarski, co owe szczupłe i blade księżycowe drzewa, wznoszące się w głębi rafaelskich obrazów Elstira. O ile wargi Albertyny były zamknięte, w zamian za to, z punktu z którego patrzyłem, powieki jej zdawały się tak nieszczelne, że mógłbym niemal zadać sobie pytanie czy ona naprawdę śpi. Ale i tak, te spuszczone powieki dawały twarzy ową doskonałą ciągłość, nieprzerwaną oczami. Są istoty, których twarz nabiera niezwyklej piękności i majestatu wówczas gdy jest pozbawiona spojrzenia.

Mierzyłem oczami Albertynę leżącą przede mną. Chwilami przebiegał ją lekki i niewytłumaczony dreszcz, niby owe liście, którymi wstrząśnie przez chwilę niespodziany wietrzyk. Dotykała swoich włosów, poczem, nie trafiwszy widocznie tam gdzie chciała, sięgała jeszcze do nich ruchami tak celowymi i rozmyślnymi, iż byłem pewien że się obudzi. Nie; uspokajała się we śnie, który się nie przerwał. Odtąd pozostawała nieruchoma. Złożyła rękę na piersi gestem tak naiwnie dziecięcym, że patrząc na nią, musiałem zdławić uśmiech, o jaki swoją powagą, niewinnością i wdziękiem, przyprowadzają nas małe dzieci.

Ja, który znałem kilka Albertyn w jednej, miałem wrażenie, że widzę jeszcze ich wiele, wszystkie spoczywające koło mnie. Brwi jej, sklepione jakoś inaczej niż zwykle, okalały gałki powiek niby zaciszne gniazdo alcjona. Rasy, atawizmy, skażenia drzemały w jej twarzy. Ilekroć przesunęła głowę, stwarzała nową kobietę, często nie podejrzewaną przezemnie. Zdawało mi się, że posiadam nie jedną, ale niezliczone młode dziewczyny. Oddech jej, coraz to głębszy, podnosił teraz regularnie pierś, a na piersi skrzyżowane ręce, perły przesuwane rozmaicie choć tym samym ruchem, niby owe łodzie, owe cumujące łańcuchy, które potrąca fala. Wówczas, czując że zasnęła całkiem, że nie obję się o rafy świadomości pokryte teraz pełnym morzem głębokiego snu, śmiało i cicho rzucałem się na łóżko, kładłem się koło niej, obejmowałem ją ramieniem, kładłem wargi na jej twarzy i na jej sercu, dotykałem jej ciała ręką która została wolna i którą, tak samo jak perły, podnosił oddech Albertyny; ja sam poruszałem się lekko od jej regularnego ruchu: płynąłem na śnie Albertyny.

Czasem dawał mi jej sen kosztować rozkoszy mniej czystej. Nie potrzebowałem na to żadnego ruchu, wyciągałem nogę wzdłuż jej nogi niby wiosło które się puszcza wolno i które od czasu do czasu wprawia się w lekkie drganie, podobne do przerywanego uderzenia skrzydeł u ptaków śpiących w powietrzu.

Patrząc na nią, wybierałem tę perspektywę jej twarzy, której się nie widywało nigdy, a która była tak piękna. Można ostatecznie pojąć, że listy które ktoś do nas pisze, są mniejwięcej podobne do siebie i rysują obraz natyle różny od znajomej osoby, że stanowią drugą osobowość. Ale o ileż dziwniejsze jest, aby kobieta była zrośnięta, niby Rosita i Doodica, z drugą kobietą, której odmienna piękność każe wnosić o innym charakterze, i że, dla ujrzenia jednej, trzeba było stanąć z profilu, a dla drugiej *en face*!

Szmer jej oddechu, stając się silniejszy, mógł dać iluzję zdyszenia rozkoszą, i kiedy moja rozkosz dobiegła kresu; mogłem ucałować Albertynę nie przerwawszy jej snu. Zdawało mi się w tych chwilach, że ją posiadałem pełniej, jak bezświadomą i pozbawioną oporu cząstkę niemej przyrody. Nie troszczyłem się o słowa, jakie się jej czasami wydzierały przez sen, znaczenie ich umykało mi się; jakkolwiek zresztą oznaczałyby nieznaną osobę, na mojej to ręce, na mojej twarzy, ręka jej, niekiedy ożywiona lekkim dreszczem, zaciskała się na chwilę. Syciłem się jej snem z miłością bezinteresowną, kochając, tak jak słuchołem przez godziny całe plusku fali.

Może trzeba aby jakaś istota zdolna nam była zadać wiele cierpienia, na to aby w godzinach pauzy dawała nam ten sam kojący spokój jaki daje natura. Nie potrzebowałem odpowiadać Albertynie jak wówczas kiedyśmy rozmawiali; a gdybym nawet mógł milczeć, jak czyniłem również gdy ona mówiła, jednak, słuchając jej, nie zstępowałem w nią równie głęboko. Wciąż słysząc, chwytając chwilą po chwili, niby ledwie wyczuwalny wietrzyk, kojący szmer jej czystego oddechu, miałem przed sobą, dla siebie, całe fizjologiczne istnienie; i byłbym tak trwał, patrząc na nią, słuchając jej, równie długo jak długo niegdyś leżałem wyciągnięty na plaży, przy blasku księżyca.

Czasami możnaby rzec że morze się wzdyma od wichru, że burza daje się czuć aż w zatoce, i zaczynałem jak ona słuchać tego chrapliwego oddechu. Czasem, kiedy Albertynie było zbyt gorąco, zdejmowała, już prawie śpiąc, kimono i rzucała je na fotel. Spała, a ja powiadałem sobie, że wszystkie jej listy znajdują się w kieszonce tego kimona, kładła je tam zawsze. Podpis, ślad umówionej schadzki, wystarczyłyby, aby dowieść kłamstwa lub rozprószyć podejrzenie. Kiedy czułem, że Albertyna śpi głęboko, wówczas, oddalając się od łóżka, na którym oddawna oglądałem ją bez ruchu, posuwałem się, zdjęty żarliwą ciekawością; czułem, że sekret jej życia, wiotki i bezbronny na tym fotelu, jest tuż. Może czyniłem to i dlatego, że patrzeć bez ruchu na to jak ktoś śpi, nuży w końcu. I tak, wciąż odwracając się aby sprawdzić czy się Albertyna nie budzi, posuwałem się na palcach aż do fotela. Przystawałem, długo patrzyłem na kimono, jak wprzód na Albertynę. Ale (może to był błąd) nigdy nie ruszyłem kimona, nie sięgnąłem do kieszeni, nie spojrzałem na listy. W końcu, widząc że się nie zdecyduje, wracałem, wciąż na palcach, do łóżka, i znów patrzyłem na śpiącą, na tę, która nie powiedziała mi nic, podczas gdy na poręczy fotela widziałem kimono, które może powiedziałyby mi wiele. I tak jak ludzie wynajmują za sto franków dziennie pokój w Hotêl de Balbec aby oddychać morskim powietrzem, tak ja uważałem za naturalne wydawać więcej jeszcze na Albertynę, skoro miałem jej oddech tuż koło twarzy, w jej ustach które rozchylałem moimi, dokąd przez mój język wnikało jej życie.

Ale tej rozkoszy patrzenia jak Albertyna śpi, rozkoszy równie słodkiej jak czuć jej życie, kładła kres inna przyjemność: mianowicie patrzeć jak się budzi. Rozkosz ta streszczała w głębszym i bardziej tajemniczym stopniu przyjemność, że ona mieszka u mnie. Nieraz popołudniu, kiedy Albertyna wysiadała z powozu, słodko mi było myśleć, że ona wraca do mojego mieszkania. Kiedy z głębin snu przebywała ostatnie stopnie sennych marzeń, było mi jeszcze milej, że to w moim pokoju budzi się do świadomości i życia, że pyta przez chwilę samej siebie: „gdzie ja jestem” i że gdy widzi otaczające ją przedmioty, lampę której blask przyprawia ją o lekkie mruganie, stwierdzając że się budzi u mnie, może sobie odpowiedzieć, że jest u siebie. W owej pierwszej rozkosznej chwili niepewności, miałem wrażenie, że ją tem pełniej biorę w posiadanie, skoro (zamiast żeby po wyjściu na miasto wracała do swojego pokoju) mój pokój – z chwilą gdy go Albertyna pozna – miał ją objąć, zawrzeć, bez żadnego śladu zmieszania w jej oczach, tak spokojnych jak gdyby wcale nie spała.

Wahania pierwszych chwil przebudzenia wyrażające się w milczeniu Albertyny, nie odbijały się w jej spojrzeniu. Z chwilą gdy odzyskiwała mowę, powiadała: „mój” albo „drogi mój”, poczem następowało moje imię, co, w razie gdybym opowiadającemu dał imię autora tej książki, brzmiałoby „mój Marcel” albo „drogi mój Marcel”. Odtąd nie pozwalałem już, aby ktoś w rodzinie, nazywając mnie też „drogim” odbierał rozkosznym słówkiem Albertyny ich jedność. Mówiąc tak, robiła minkę, którą sama z siebie zmieniała w pocałunek. I równie szybko jak niedawno zasnęła, tak szybko też budziła się.

Tak jak moje przemieszczenie w czasie, jak fakt patrzenia na młodą dziewczynę, siedzącą koło mnie, przy lampie oświetlającej ją inaczej niż słońce wówczas gdy się posuwała nad morzem, tak samo ten realny przyrost wartości, samoistny rozwój Albertyny nie stanowiły ważnej przyczyny, różnicy między moim patrzeniem na nią teraz a niegdyś w Balbec. Więcej lat mogłoby oddzielić te dwa obrazy, nie sprowadzając równie kompletnej zmiany; owa zmiana – zasadnicza i nagła – powstała w chwili, kiedy się dowiedział, że Albertyna chowała się niemal u przyjaciółki panny Vinteuil. O ile niegdyś podniecała mnie tajemnica kryjąca się w oczach Albertyny, obecnie byłem szczęśliwy

jedynie w chwilach, kiedy z tych oczu, nawet z tych policzków wyrazistych jak oczy, dopieroco tak słodkich ale wnet nachmurzonych, zdołałem wygnać wszelką tajemnicę.

Obrazem, którego szukałem, w którym odpoczywałem, z którym byłbym chciał umrzeć, nie była już Albertyna mająca nieznanne życie, ale Albertyna znana mi tak dobrze jak tylko możliwe (i dlatego ta miłość nie mogła być trwała, chyba żeby została nieszczęśliwa, zasadniczo bowiem nie zaspokajała potrzeby tajemnicy); Albertyna nie odbijająca dalekiego świata, ale nie pragnąca – były chwile, w których w istocie tak się zdawało – niczego innego jak być ze mną, całkiem podobna do mnie, Albertyna stanowiąca obraz tego, co właśnie było moje, nie zaś czegoś nieznanego. Kiedy miłość urodziła się tak z godziny trwogi w stosunku do jakiejś istoty; kiedy się urodziła z niepewności czy się ją da zatrzymać lub czy się wymknie, wówczas miłość ta nosi znamię wstrząsu który ją stworzył i bardzo mało przypomina to, cośmy widzieli dotąd w tej istocie. Moje pierwsze wrażenia wobec Albertyny na brzegu fal mogły potrosze przetrwać w mojej miłości do niej; w rzeczywistości jednak, owe dawniejsze wrażenie zajmują jedynie skąpo miejsca w tego rodzaju miłości; taka miłość w swojej sile, cierpieniu, w swojej potrzebie słodczy i ucieczce ku spokojnemu i kojącemu wspomnieniu, gdzie chciałoby się trwać i niczego już więcej nie dowiedzieć się o ukochanej, nawet gdyby było można dowiedzieć się czegoś wstrętnego – więcej nawet, chciałoby się ufać jedynie owym dawniejszym wrażeniom – taka miłość stworzona jest z całkiem czego innego!

Czasem gasiłem światło, zanim Albertyna weszła. Wówczas, w ciemności, ledwie prowadzona blaskiem żarzącego się polana, kładła się koło mnie. Rozpoznawały ją tylko moje ręce, moje policzki; oczy moje nie widziały jej, te oczy, które często bały się ją ujrzeć odmienioną. Tak iż dzięki temu oślepieniu mojej miłości, Albertyna czuła się może bardziej zanurzona w tkliwości niż zazwyczaj. Innym razem rozbierałem się, kładłem, Albertyna siadała na łóżku, i podejmowaliśmy partyjkę lub rozmowę przerywaną pocałunkami. Jedynie pożądanie każe się nam interesować życiem i charakterem danej osoby; w pożądaniu zaś pozostajemy wierni własnej naturze, mimo iż porzucając przytem kolejno rozmaite kochane przez nas osoby. Tak więc, kiedy raz, w chwili gdym całował Albertynę, nazywając ją swoją dziewczynką, spostrzegłem w lustrze smutny i namiętny wyraz własnej twarzy, podobnej do tej jaką byłaby nigdy przy Gilbertcie o której już nie pamiętałem, podobnej do twarzy jaką miałbym może kiedyś przy innej kobiecie, gdybym miał kiedy zapomnieć Albertynę, uczułem, że ponad kwestją osoby (instynkt chce, abyśmy uważali „tę obecną” za jedynie prawdziwą), dopełniam w tej chwili rytuału żarliwej i bolesnej dewocji, kultu młodości i piękności Kobiety. A mimo to, z tem pragnieniem, składającym swoje „*ex voto*” młodości, a także ze wspomnieniami Balbec, mieszało się, w tej mojej potrzebie trzymania tak co wieczór Albertyny przy sobie, coś, co – o ile nie było całkowicie nowe w moim życiu – było dotychczas obce bodaj mojemu życiu miłosnemu.

Była to moc ukojenia, taka jakiej nie doznałem od odległych wieczorów w Combray, kiedy, pochylona nad moim łóżkiem, matka przynosiła mi spokój w pocałunku. Z pewnością, dziwiłbym się bardzo w owym czasie, gdyby mi powiedziano, że nie jestem całkiem dobry, a zwłaszcza że będę się kiedykolwiek starał pozbawić kogoś przyjemności. Widocznie licho znałem wówczas samego siebie, bo przyjemność trwałego posiadania Albertyny u siebie w domu była dla mnie o wiele wątpliwsza, niż przyjemność odcięcia jej od świata, gdzie każdy mógł się nią cieszyć z kolei, przyjemność spętania kwitnącej młodej dziewczyny, która, jeżeli nie dawała mi wiele szczęścia, pozbawiała go bodaj innych. Ambicja, sława, zostawiłyby mnie obojętnym. Jeszcze mniej byłem zdolny odczuwać nienawiść. A jednak, bądź jak bądź, miłość fizyczna była dla mnie tryumfem nad szeregami współzawodników. Wciąż muszę to podkreślać: to było przedewszystkiem ukojenie.

Nic to, że, zanim Albertyna wróciła, wątpiłem o niej, wyobrażałem ją sobie w pokoju w Montjouvain; kiedy siadła w peniuarze nawprost mego fotela, lub kiedy (najczęściej) wyciągnąłem się na łóżku, składałem moje wątpienia w niej, oddawałem je jej aby mnie od nich uwolniła, z poddaniem wierzącego człowieka, który odmawia pacierz. Przez cały wieczór mogła, zwinięta psotnie w kłębek na łóżku, bawić się ze mną niby duża kotka; różowy nosek, który kurczyła

jeszcze zalotnym spojrzeniem, filuternym jak bywa u tłuscioszek, dawał jej mince coś kapryśnego, podnieconego; kiedy strząsnęła pukiel długich czarnych włosów na policzek niby z różowego wosku i kiedy, przymknąwszy oczy, rozkładając ramiona, mówiła spojrzeniem: „Rób ze mną co zechcesz”; kiedy w chwili gdy miała mnie opuścić, zbliżała się aby mi rzec dobranoc, całowałem rodzinną niemal słodycz tych policzków po obu stronach jej pełnej szyi, która wówczas nigdy nie wydawała mi się dość ciemna ani dość gładka, jakgdyby te materialne przymioty miały u Albertyny związek z lojalnością i dobrocią.

Teraz z kolei Albertyna mówiła mi dobranoc. Całowała mnie z dwóch stron w szyję, przyczem włosy jej pieściły mnie jak skrzydło o ostrych i miękkich piórach. Mimo iż te dwa pocałunki pokoju – matki i Albertyny – były od siebie tak różne, kiedy Albertyna wsuwała język w moje usta – czyniąc mi dar ze swego języka, niby dar Ducha świętego – dawała mi jakby wiatyk, zostawiała mi zapas spokoju, prawie równie słodki, jak kiedy matka kładła wieczorem w Combray wargi na moim czole.

– Czy wybierzesz się z nami jutro, złośniku? – pytała przed rozstaniem.

– Dokąd jedziecie?

– To będzie zależało od pogody i od ciebie. Czy napisałeś bodaj coś dzisiaj, kochanie? Nie? No, w takim razie czy warto było wyrzekać się spaceru! Powiedz, prawda, kiedy wróciłam, poznałeś moje kroki, domyśliłeś się że to ja?

– Naturalnie. Czy możnaby się omylić, czy możnaby nie poznać, wśród tysiąca, kroków swojej kuropatewki? Niech mi pozwoli rozzuć się, zanim się położę, to mi sprawi taką przyjemność. Jesteś taka milusia i taka różowa w tej bieli koronek.

Taka była moja odpowiedź: pośród zwrotów zmysłowych, łatwo poznać inne, właściwe matce i babce, bo stopniowo stawałem się podobny do wszystkich krewnych, do ojca, który – wprawdzie na inny sposób, bo jeżeli się pewne rzeczy powtarzają, to z wielkimi odmianami – tak bardzo się interesował pogodą danego dnia; i nietylko do ojca, ale coraz więcej do cici Leonji. Inaczej, Albertyna mogłaby być dla mnie jedynie racją do spacerów, dlatego aby jej nie puszczać samej, bez kontroli. Z zamarynowaną w dewocji cicią Leonją nie miałem w swoim mniemaniu ani jednego punktu wspólnego, ja tak spragniony rozkoszy, diametralnie różny napozór od tej maniaczki, nie zdolnej zaznać żadnej przyjemności i odmawiającej przez cały dzień różaniec; ja tak gryzący się tem, że nie mogę zostać literatem, podczas gdy ona była jedyną osobą w rodzinie, nie zdolną jeszcze zrozumieć, że czytać to jest coś innego niż spędzać czas „na zabawie”; dzięki czemu nawet około Wielkiej Nocy lektura była dozwolona w niedzielę, kiedy wszelkie poważne zajęcie jest wzbronione, iżby ten dzień był całkowicie poświęcony modlitwie. Otóż, mimo iż codzień czerpałem racje w specjalnym niedomaganiu, które mnie tak często więziło w łóżku, jakaś istota (nie Albertyna, nie osoba którą kochałem), ale jakaś istota mająca nademną większą władzę od istoty kochanej, przeniosła się we mnie, tak despotyczna że czasem kazała zmilknąć moim zazdrosnym podejrzeniom lub bodaj wzbraniała mi sprawdzić w jakim stopniu są usprawiedliwione; a istotą tą była ciocia Leonja. I nietylko stawałem się przesadnie podobny do ojca, tak dalece, że nie poprzestawałem jak on na sprawdzaniu barometru, ale sam się stawałem żywym barometrem; nietylko ciocia Leonja zmuszała mnie do obserwowania pogody z pokoju lub nawet z łóżka; oto teraz mówiłem do Albertyny czasem jak dziecko jakim byłem w Combray mówiąc do matki, to znów tak jak mówiła do mnie babka.

Kiedyśmy przekroczyli pewien wiek, dusza dziecka którym byliśmy niegdyś i dusza zmarłych z których się wiemy, rzucają nam garściami swoje bogactwa i swoje złe uroki, pragnąc mieć udział w naszych nowych uczuciach, w które, zacierając dawny obraz, przetapiamy wszystko tamto. I tak, cała moja przeszłość od najdawniejszych lat, i poprzez owe lata przeszłość rodziców, wlewały w moją nieczystą miłość do Albertyny słodycz synowskiej i macierzyńskiej zarazem czułości. Począwszy od pewnej godziny, przeznaczone nam jest przyjmować wszystkich naszych krewnych, przybyłych z tak daleka i skupionych dokoła nas.

Zanim mnie Albertyna usłuchała i pozwoliła mi zdjąć sobie trzewiki, rozchyliłem jej koszulę. Dwie drobne wysoko osadzone piersi były tak okrągłe, że robiły nietyle wrażenie integralnej części jej ciała ile dojrzewających w tym miejscu owoców; a jej brzuch (kryjąc miejsce, które mężczyzną szpeci niby hacel tkwiący jeszcze w odpakowanym posągu) zamykał się u spojenia ud dwiema bruzdami o krzywiźnie łagodnej, kojącej i zacisznej, niby linja horyzontu, gdy słońce znikło.

Zdejmowała buciki i kładła się koło mnie.

O, wzniosłe gesty Mężczyzny i Kobiety, w których to, co stwórca rozdzielił, sili się połączyć, w niewinności pierwszych dni i z pokorą gliny; Ewa zdziwiona i uległa wobec Mężczyzny, przy którego boku się budzi, jak on sam, jeszcze samotny, zdziwiony i uległy był wobec Boga który go ulepił. Albertyna zaplatała ręce za czarnymi włosami, wyprężając biodro, opuszczając nogę podobną do łabędziej szyi gdy się wyciąga i wygina. Jedynie kiedy leżała całkiem na boku, widać było pewien profil jej twarzy (tak dobrej i ładnej *en face*); profil którego nie mogłem znosić, haczykowany jak na pewnych karykaturach Leonarda, wyrażających jak gdyby złość, chciwość, chytrych szpiega, którego obecność w domu przejęłaby mnie zgrozą, a który demaskował się niejako w tym profilu. Natychmiast ujmowałem twarz Albertyny w dłonie i ustalałem ją *en face*.

– Bądź dobry, przyrzeknij mi, że jeśli nie pojedziesz jutro, będziesz pracował – mówiła zdejmując koszulę.

– Tak, ale nie kładź jeszcze peniuaru.

Czasami zasypiałem wkońcu koło niej. Pokój wyziął, trzeba było drzewa. Próbowiałem znaleźć dzwonek za plecami, nie mogłem znaleźć, obmacywałem wszystkie pręty mosiężne między którymi nie było dzwonka, i mówiłem do Albertyny, która wyskakiwała nie chcąc żeby Franciszka widziała nas razem w łóżku:

– Nie, wróć jeszcze trochę, nie mogę znaleźć dzwonka.

Słodkie, wesołe, niewinne napozór chwile, w których gromadzi się jednak niepodejrzewana w nas możliwość nieszczęścia, co sprawia iż życie miłosne najwięcej mieści kontrastów; nieprzewidywany deszcz siarki i smoły spada w niem po najpogodniejszych momentach, poczem, niezdolni wyciągnąć nauki z nieszczęścia, wnet odbudowujemy się na stokach krateru, z którego może wyjść jedynie katastrofa. Miałem beztroskę ludzi, co wierzą w trwałość swojego szczęścia. Ta słodycz potrzebna jest aby zrodzić cierpienie; i wróci zresztą, aby koić je od czasu do czasu. I dlatego człowiek może być szczery z drugimi, nawet z samym sobą, kiedy się szczyci miłością danej kobiety, mimo że, razem wzięwszy, w ich stosunku stale krąży bolesny niepokój – krąży tajemnie, niewyznany nikomu lub zdradzony mimowoli pytaniami, śledztwem, bolesnym niepokojem. Że jednak niepokój ten nie mógłby się zrodzić bez uprzedniej słodyczy, że nawet potem chwilowa słodycz potrzebna jest aby pozwolić znosić mękę i zapobiec zerwaniu, skrywanie tajnego piekła, jakim jest pożycie z tą kobietą, komedia posuwająca się aż do popisu rzekomą harmonią, zawierają coś prawdy, pewien związek między przyczyną a skutkiem, jeden z warunków umożliwiających produkcję cierpienia.

Nie dziwiłem się już, że Albertyna jest tutaj i że ma jutro wyjść jedynie ze mną lub pod opieką Anny. Te nawyki wspólnego życia, te wielkie linje ograniczające moją egzystencję, nieprzebyte dla nikogo poza Albertyną, a także (w przyszłym, nieznanym mi jeszcze planie mego późniejszego życia, niby wykreślony przez architekta plan budowli, które powstaną aż znacznie później) dalekie, równoległe do nich i obszerniejsze linje szkicujące we mnie, niby samotną pustynię, sztywną i monotonną nieco formułę moich przyszłych miłości – to wszystko wykreśliła w istocie owa noc w Balbec, kiedy w kolejce, skoro mi Albertyna wyznała kto ją wychował, zapragnąłem ją za wszelką cenę uchronić od pewnych wpływów i nie puszczać jej od siebie przez kilka dni. Dnie następowały po dniach, przyzwyczajania te stały się machinalne; ale na podobieństwo owych obrzędów których sens próbuje odczytać historia, komuś, ktoby mnie spytał, co znaczy to odludne życie, w którym zamykałem się do tego stopnia żem przestał chodzić nawet do teatru; mógłbym (a nie chciałym) powiedzieć, że zrodziło się ono z trwogi jednego wieczoru i z potrzeby dowiedzenia samemu sobie (w dniach, które nastąpiły po owym wieczorze), że ta, której opłakane dzieciństwo poznałem, nie

miałyby możliwości narażenia się na dawne pokusy – w razie gdyby chciała to uczynić. Dość rzadko już myślałem o tych możliwościach; mimo to, musiały one wciąż żyć mglisto w mojej świadomości. Fakt niszczenia ich dzień po dniu – lub próby w tej mierze – stały się z pewnością przyczyną, czemu lubiłem całować te policzki, nie piękniejsze od wielu innych; pod wszelką głębszą nieco fizyczną rozkoszą, istnieje ciągle niebezpieczeństwo.

\*

Przyrzekłem Albertynie, że o ile z nią się nie wybiorę, wezmę się do pracy. Ale nazajutrz, jakgdyby, korzystając z naszego snu, dom w cudowny sposób odbył podróż, budziłem się w odmienną pogodę w innym klimacie. Nie sposób pracować w chwili gdy się ląduje w nowym kraju, do którego warunków trzeba się dostosować. Otóż, każdy dzień był dla mnie odmiennym krajem. Jakimż cudem poznałbym nawet swoje lenistwo w jego wciąż nowych formach?

Czasami, w dniu beznadziejnie słotne (jak twierdzono), już samo siedzenie w domu, zanurzonym w równym i ciągłym deszczu, posiadało gładką słodycz, kojącą ciszę, urok morskiej podróży; innym razem, w pogodny dzień, leżąc nieruchomo w łóżku, pozwalałem się kręcić cieniem dokoła siebie, niby dokoła pnia drzewa.

Kiedyindziej znów, przy pierwszych dzwonach bliskiego klasztoru, nielicznych jak poranne dewotki, poznawałem jeden z owych burzliwych, nerwowych i słodkich dni, ledwie bielących ciemne niebo mokrym szronem, roztopianym i rozpraszającym przez ciepły wiatr, kiedy dachy zwilżone ulewą, którą suszy podmuch wiatru lub promień słońca, z gruchaniem pozwalają ściekać kroplom deszczu i czekając aż wiatr znów się zerwie, gładzą swoje dachówki mieniące się w błysku słońca jak gardziołko gołębia; jeden z dni, wypełnionych tyłoma odmianami pogody, powietrznych zdarzeń, burz, dni nie straconych dla leniucha, ożywionego energią, jaką za niego, poniekąd w jego zastępstwie, rozwinęła atmosfera; dni podobne dniom rozruchów lub wojny, które nie wydają się puste uczniakowi wymykającemu się z klasy, ponieważ, wałęsając się koło Pałacu sprawiedliwości lub czytając dzienniki, ma złudzenie, że w wydarzeniach które się działy, w miejsce zadań których nie odrobił, znalazł korzyść dla swojej inteligencji i wymówkę dla próżniactwa; dni dające się porównać z temi, w których się spełnia w naszym życiu jakiś wyjątkowy przełom, dając komuś, kto nigdy nic nie robił, złudzenie, że – jeżeli się skończy szczęśliwie – zaszczerpi w nim skłonność do pracy. Naprzykład rano, kiedy człowiek wychodzi z domu na pojedynek o szczególnie niebezpiecznych warunkach; wówczas, w chwili gdy może stracić życie, objawia mu się nagle cena życia, z którego mógł być skorzystał aby podjąć jakieś dzieło, lub bodaj kosztować przyjemności, a z którego nie umiał wydobyć nic.

– Gdybym nie zginął – powiada sobie – jakżebym się zaraz zabrał do pracy! I jakbym się bawił!

Życie nabrało nagle w jego oczach większej wartości, ponieważ wkłada w nie wszystko co mu się zdaje że ono może dać, a nie to niewiele które ma z niego zazwyczaj. Widzi je wedle swoich pragnień, nie zaś takim, jakim – wie to z doświadczenia – umie je uczynić, to znaczy tak miernem! Życie to wypełniło się w jednej chwili pracami, podróżami, wycieczkami w góry, wszystkimi pięknymi rzeczami, które (powiada sobie) nieszczęśliwy wynik pojedynku może unicestwić; podczas gdy, zanim jeszcze była mowa o pojedynku, wszystko unicestwiały jego złe nawyki, które nawet bez pojedynku trwałyby nadal. Wraca do domu nawet nie ranny, ale odnajduje te same przeszkody dla przyjemności, dla wycieczek, podróży, dla wszystkiego tego, z czego wiekuistem wyzuciem groziła mu przez chwilę śmierć: wystarczy na to życie! Co się tyczy pracy, daje sobie urlop, ile że wyjątkowe okoliczności podsycają w człowieku to co w nim już istniało: w pracowitym pracę a w próżniaku lenistwo.

Robiłem tak jak ów człowiek i tak jak zawsze robiłem od czasu dawnych postanowień żeby się wziąć do pisania. Postanowienie to powziąłem niegdyś, ale zdawało mi się nie dawniejsze niż wczoraj, bo każdy z kolei dzień stawał się dla mnie niebyły. Tak samo poczynałem sobie i z tym

dniem, pozwalając beczynnemu mijać jego ulewom i przebłyskom pogody, obiecując sobie pracować jutro. Ale stawałem się inny pod niebem bez chmurki; złożony dźwięk dzwonów zawierał nie tylko – jak miód – światło, ale wrażenie światła, a także mdły smak konfitur (ponieważ w Combray wałęsał się często jak osa po sprzątniętym stole). W taki słoneczny dzień lenić się z zamkniętymi oczami, to była rzecz dozwolona, praktykowana, zbawienna, miła, właściwa, tak jak zamknąć żaluzje od upału.

W taki to czas, w początkach drugiego pobytu w Balbec, usłyszałem smyczki orkiestry pośród sinych fal przyływu. O ileż więcej posiadałem Albertynę dziś! Były dni, kiedy dzwon bijący godzinę miał na kręgu swojej dźwięczności tarczę tak świeżą, tak mocno nasyconą wilgocią lub światłem, że stawała się jakgdyby transpozycją dla ślepych, lub, jeśli kto woli, muzycznym przekładem uroków deszczu lub czaru słońca. Tak iż w tej chwili, leżąc z zamkniętymi oczami w łóżku, powiadałem sobie, że wszystko da się przetrasponować, i że wszechświat jedynie słyszalny mógłby być równie urozmaicony. Płynąc leniwo z powrotem od dnia do dnia, niby na łodzi, i widząc jawiące się przedemną wciąż nowe zaczarowane wspomnienia, nie wybierane przezemnie, niewidzialne na chwilę przedtem i ukazywane mi przez pamięć, kolejno, bez możliwości wyboru, ciągnąłem leniwo po tych równych przestrzeniach przechadzkę w słońcu.

Te ранne koncerty w Balbec nie były zbyt dawne. A jednak, w owej bliskiej stosunkowo chwili, nie wiele dbałem o Albertynę. W pierwszych dniach po przybyciu, nie wiedziałem nawet o jej obecności w Balbec. Kto to mi o tem powiedział? A, prawda, Aimé. Było piękne słońce, jak dziś. Był rad, że mnie widzi. Ale nie lubił Albertyny. Wszyscy nie mogą jej lubić. Tak, to Aimé oznajmił mi, że ona jest w Balbec. Skąd on to wiedział? A, spotkał ją, wydała mu się w wątpliwym guście. W tej chwili, ujmując opowiadanie Aimégo z innej strony niż to było w jego intencjach, myśl moja, dotąd żeglująca z uśmiechem po tych błogosławionych wodach, pękła nagle, jakgdyby się natknęła na niewidzialną a niebezpieczną minę, zdradliwie założoną w tym punkcie mojej pamięci. Aimé oznajmił mi, że ją spotkał, że mu się wydała w wątpliwym guście. Co on chciał powiedzieć przez ten wątpliwy gust? Zrozumiałem gust pospolity, gdyż, aby temu zaprzeczyć, oświadczyłem z punktu, że Albertyna jest dystygowana. Ale może on chciał powiedzieć w guście gomorejskim? Była z przyjaciółką; może się obejmowały, może się przyglądały innym kobietom, może miały w istocie wzięcie, którego nigdy nie miała wprzód Albertyna w mojej obecności. Kto to była ta przyjaciółka, gdzie spotkał Aimé tę wstrętą Albertynę?

Starłem się przypomnieć sobie ściśle to co mi Aimé powiedział, sprawdzić czy się to może odnosić do tego com sobie wyobrażał, lub czy on miał na myśli jedynie pospolitość manier. Ale daremnie zastanawiałem się nad tem: osoba zadająca sobie pytanie i osoba zdolna dostarczyć wspomnień były niestety tylko jedną i tą samą osobą, *mna*; rozdwajałem się chwilowo, ale niczem nie pomnażając siebie. Pytałem; ale odpowiadałem sam, nie dowiedziałem się niczego więcej. Nie myślałem już o pannie Vinteuil. Zrodzony z nowego podejrzenia, mój atak zazdrości był również nowy, lub raczej był tylko przedłużeniem, rozszerzeniem tego podejrzenia; sceną jego nie było już Montjouvain, ale droga gdzie Aimé spotkał Albertynę, a przedmiotem kilka przyjaciółek, z których jedna mogła towarzyszyć owego dnia Albertynie. Może niejaka Elżbieta, a może raczej owe dwie młode dziewczyny, którym Albertyna przyglądała się w lustrze w kasynie, nie zdradzając się z tem że je widzi. Utrzymywała może stosunki z nimi, a także z Esterą, kuzynką Blocha. Gdyby mi takie stosunki zdradził ktoś trzeci, wystarczyłyby niemal aby mnie zabić; ale ponieważ to ja sam wyobrażałem je sobie, bezwiednie przydałem im tyle niepewności, ile było trzeba dla stępienia bólu.

Pod postacią podejrzeń dochodzi człowiek do codziennego wchłaniania olbrzymich dawek myśli że jest zdradzany; słaba jej dawka mogłaby być śmiertelna, gdyby ją w nas wprowadził zastrzyk morderczego słowa. Oto przejaw instynktu samozachowawczego: – zazdrośnik nie waha się powziąć okrutnych podejrzeń z powodu niewinnych faktów, ale, w obliczu pierwszego dowodu jakiego mu ktoś dostarczy, nie podda się oczywistości. Zresztą, miłość jest chorobą nieuleczalną, jak owe skazy, w których reumatyzm folguje jedynie poto, aby ustąpić miejsca migrenom epileptoidalnym. Kiedy moje zazdrosne podejrzenia się uspokoiły, miałem żal do Albertyny, że nie była serdeczna, że może

sobie drwiła ze mnie z Anną. Myślałem ze zgrozą o tem co ona musi myśleć o mnie, jeśli jej Anna powtórzyła wszystkie nasze rozmowy; przyszłość przedstawiała mi się strasznie. Smutki te opuszczały mnie jedynie wówczas, gdy nowe podejrzenie wtrąciło mnie w inne domysły, lub gdy przeciwnie czułość Albertyny odebrała wartość memu szczęściu. Co to mogła być za młoda dziewczyna? muszę napisać do Aimégo, postarać się z nim zobaczyć; a potem sprawdziłbym jego zeznania w rozmowie z Albertyną, wyciągając ją na słówka. Na razie, przekonany że to musiała być kuzynka Blocha, poprosiłem Blocha (nie rozumiejącego zgoła w jakim celu), żeby mi bodaj pokazał jej fotografię lub mnie ewentualnie z nią zetknął.

Ileż osób, miast, dróg, pragniemy w ten sposób poznać pod wpływem zazdrości? Zazdrość jest żądzą wiedzy, dzięki której zdobywamy w końcu wszystkie możliwe wiadomości co do poszczególnych punktów, z wyjątkiem tych, którychbyśmy pragnęli. Nie wiadomo nigdy, czy się nie zrodzi podejrzenie, bo nagle przypominamy sobie jakieś niejasne zdanie, alibi stworzone może nie bez intencji. Prawda, od tego czasu nie widzieliśmy danej osoby, ale istnieje zazdrość wsteczna, zbudzona dopiero po rozstaniu się, „*jalousie de l'escalier*”. Przyzwyczailem się kryć w sobie niektóre pożądanja, pożądanje młodej panny z towarzystwa (w rodzaju tych które widziałem z okna przechodzące z guwernantką), a osobliwie tej z domu schadzek, o której wspominał Saint-Loup; pragnienie pięknych pokojówek, w szczególności pokojówki pani Putbus; pragnienie wsi z początkiem wiosny, żądzą oglądania głogów, kwitnących jabłoni, burz; pragnienie Wenecji, pragnienie wzięcia się do pracy, pragnienie życia takiego jak wszyscy; może ten nawyk przechowywania w sobie wszystkich tych niezaspokojonych pragnień, – przyczem poprzestawałem na obietnicy, czynionej samemu sobie, że nie zapomnę zaspokoić ich kiedyś – może ów tyloletni nawyk tego, co p. de Charlus piętnował mianem *procrasnacji* – „dojutrowania” – stał się we mnie tak uniwersalny, że rozciągał się i na moją zazdrość? Notując w myśli że nie omieszkam kiedyś rozmówić się z Albertyną w sprawie młodej dziewczyny – może młodych dziewczyn (ta część opowiadania była w mojej pamięci mętna, zamazana, można rzec nie do przebycia) – z którą (lub z którymi) Aimé ją spotkał, odwlekałem te wyjaśnienia. W każdym razie, nie mówiłbym o tem z Albertyną tego wieczora, aby się nie narażać na to że się zdradzę ze swoją zazdrością i że ją pogniewam.

Jednakże, kiedy nazajutrz Bloch przysłał mi fotografię swojej kuzynki Estery, czempredziej przesłałem ją Aimému. I równocześnie przypomniałem sobie, że Albertyna odmówiła mi rano przyjemności, która mogłaby ją w istocie zmęczyć. Czyżby dlatego, żeby zachować tę przyjemność dla kogo innego? Popołudniu może? Dla kogo?

W ten sposób zazdrość jest nieskończona. Nawet jeśli ukochana istota (kiedy umrze, naprzykład) nie może już jej wywoływać uczynkami, wspomnienia późniejsze od wszelkich wydarzeń mogą się nagle stać w naszej pamięci również wydarzeniami; wspomnienia, których nie oświetliliśmy dotąd, które się nam zdawały nieznaczące, a którym wystarcza nasze zastanowienie się nad nimi, bez żadnego faktu z zewnątrz, aby nabrały nowego i strasznego znaczenia. Nie potrzeba być we dwoje, wystarczy być samemu w pokoju i myśleć, aby zaszły nowe fakty zdrad kochanki, choćby ona sama umarła. Toteż w miłości, nie tak jak w zwyczajnem życiu, trzeba się bać nietylko przyszłości, ale nawet przeszłości, która często realizuje się dla nas aż po przyszłości; a nie mówię tu jedynie o przeszłości której się dowiadujemy po czasie, ale o tej, którą przechowujemy w sobie oddawna i w której nagle nauczymy się czytać.

Ale i tak, pod wieczór czułem się bardzo szczęśliwy, że się zbliża godzina, kiedy będę mógł od obecności Albertyny zażądać potrzebnego mi ukojenia. Na nieszczęście, wieczór który nadszedł, był jednym z tych, kiedy to ukojenie nie było mi dane; kiedy pocałunek Albertyny na rozstanie, bardzo odmienny od jej zwykłego pocałunku, nie uspokoiłby mnie tak samo jak pocałunek matki w dniu kiedy się gniewała i kiedy nie śmiałem jej wołać, czując jednak że nie zdołałem zasnąć. To były teraz te wieczory, kiedy Albertyna ułożyła na jutro jakiś projekt w sekrecie przedemną. Gdyby mi była zwierzyła ów projekt, pomógłbym jej w jego ziszczeniu z zapalem jakim nikt prócz Albertyny nie zdołałby mnie natchnąć. Ale nie mówiła nic, i nie potrzebowała zresztą nic mówić; z chwilą

gdy weszła, jeszcze w drzwiach mego pokoju kiedym ją ujrzał w kapeluszu lub toczku na głowie, widziałam już nieznane, uparte, zaciekle, niezwalczone pragnienie. I były to często wieczory, kiedy oczekiwałem jej powrotu z najtkliwszemi myślami, kiedy chciałem się jej rzucić na szyję z największą czułością.

Niestety, nieporozumienia jakie często miewałem z rodzicami, gdy trafiałem na ich chłód lub gniew w chwili gdym podbiegał do nich dławiąc się czułością, niczem są w porównaniu z rozdźwiękiem między kochankami! Cierpienie jest tu o wiele mniej powierzchowne, o wiele trudniejsze do zniesienia, tkwi w o wiele głębszej warstwie serca.

Tego wieczora Albertyna musiała mi jednak wspomnieć o swoim projekcie. Zrozumiałem natychmiast, że się wybiera jutro do pani Verdurin. W zasadzie nie miałbym nic przeciw tej wizycie. Ale z pewnością chciała tam iść poto aby kogoś spotkać, aby ukartować jakąś przyjemność. Inaczej nie zależałoby jej tak na tej wizycie, czyli nie byłaby powtarzała, że jej na tem nie zależy. Posuwałem się w swojej egzystencji drogą odwrotną do drogi ludów, dochodzących do pisma fonetycznego dopiero po przebyciu fazy liter jako szeregu symbolów; ja, który tyle lat szukałem prawdziwego życia i myśli ludzi jedynie w tem co mi poprostu i dobrowolnie mówili, z ich winy doszedłem do tego, że przywiązywałem już wagę jedynie do świadectw nie będących racjonalnym i analitycznym wyrazem prawdy; słowa nawet miały dla mnie znaczenie jedynie o tyle o ile je sobie tłumaczył tak jak naprzykład rumieniec zmieszanej osoby lub nagłe milczenie.

Jakiś przysłówek użyty naprzykład przez pana de Cambremer, kiedy sądził że jestem „pisarzem” i kiedy, nie rzekłszy jeszcze nic, opowiadając o swojej wizycie u Verdurinów, obrócił się do mnie, mówiąc: „Był tam *właśnie* de Borelli”, przysłówek wynikły z mimowolnego, czasem ryzykownego zbliżenia dwóch myśli, nie wyrażonych przez interlokutora, z którego-to zbliżenia mogłem, dzięki jakiejś metodzie analizy lub elektrolizy, wydobyć te myśli, taki przysłówek powiadał mi więcej niż cała rozprawa.

Albertynie zdarzało się czasem w jej odezwaniach się uronić jakiś szacowny amalgamat, który czempredziej starałem się poddać działaniu odczynników, aby go przeobrazić w jasną myśl. To jest zresztą jedna z najokropniejszych rzeczy dla zakochanego, że, o ile poszczególne fakty są trudne do odkrycia (dałoby się je odkryć, wśród tylu możliwości, jedynie doświadczeniem, szpiegowaniem), w zamian za to prawdę jest tak łatwo przeniknąć lub bodaj przeczuć.

Często widziałem w Balbec Albertynę, jak wpija w przechodzące młode dziewczyny nagłe i długie spojrzenie, mające coś z dotyku, poczem, o ile znałem te dziewczęta, mówiła: „Gdyby je ściągnąć? z przyjemnością nagadałabym im impertynencyj”. A od jakiegoś czasu (z pewnością od czasu gdy mnie przeniknęła) – nic; żadnej propozycji zaproszenia kogoś, żadnego słowa, nawet żadnego umykania spojrzeń, które się stały bezprzedmiotowe, milczące i w swoim roztargnieniu i obojętności równie rewelacyjne jak niegdyś była ich magnetyczność. Otóż, niepodobna mi było robić Albertynie wymówek lub zadawać jej pytań, z powodu jakichś drobiazgów tak błahych, tak nieznaczących, zauważonych przezemnie chyba dla przyjemności „rozszczepiania włosa na czworo”! Dość już trudno jest powiedzieć: „czemuś spojrzała na tę kobietę”, ale o wiele trudniej: „czemu na nią nie spojrzałaś?” A jednak, wiedziałem, lub bodaj byłbym wiedział czemu, gdybym nie wolał wierzyć raczej twierdzeniom Albertyny niż wszystkim owym „nic” zawartym w jej spojrzeniu, dowiedzionym przez to spojrzenie i przez jakąś sprzeczność jej słów, sprzeczność którą często spostrzegałem aż w dłuższy czas po rozstaniu się z nią, sprzeczność która mnie dręczyła całą noc, o której nie śmiałem już mówić, ale która nie mniej zaszczyciała moją pamięć perjodycznemi wizytami.

Często, z powodu tych przelotnych lub ukradkowych spojrzeń na plaży w Balbec lub na ulicy w Paryżu, mogłem rozważać czy osoba, która je wywołuje, jest tylko doraźnym celem pożądania? Może to dawna znajoma, lub ktoś kogo Albertyna zna tylko ze słyszenia. I kiedym się o tem dowiedział, zdumiony byłem że słyszała o niej, tak bardzo osoba ta znajdowała się poza kręgiem „możliwych” znajomości Albertyny. Ale nowoczesna Gomorra to jest *puzzle* złożony z kawałków najniespodzianszego pochodzenia. I tak, widziałem raz w Rivebelle wielki obiad, którego conajmniej

dziesięć uczestniczek znałem przypadkowo z nazwiska; uczestniczek możliwie najróżnorodniejszych, ale wybornie szarmonizowanych, tak że nie widziałem obiadu równie jednolitego, mimo iż tak mieszanego.

Aby wrócić do owych spacerujących, faktem jest, że nigdy Albertyna nie patrzyła na żadną wiekową damę ani na starca wzrokiem tak martwym, tak obojętnym, jak na te młode osoby: wręcz jakby nie widziała. Oszukani mężowie, którzy nie wiedzą nic, i tak wiedzą wszystko. Ale aby wszcząć scenę zazdrości, trzeba konkretniejszych dowodów. Zresztą, jeżeli zazdrość pomaga nam odkryć u kochanki niejaką skłonność do kłamstwa, zazdrość nasza zestokrotnia tę skłonność, o ile kobieta odkryła że jesteśmy zazdrośni. Kłamie (w stopniu, w jakim nigdy nie kłamała przedtem) z litości, lub ze strachu, lub wymyka się instynktownie zapomocą symetrycznej ucieczki naszemu śledztwu. Z pewnością, istnieją stosunki w których kobieta lekka narzuciła od początku oczom zakochanego mężczyzny wiarę w swoją cnotę. Ale jakże często stosunek miłosny zawiera dwa okresy stanowiące doskonały kontrast. W pierwszym, kobieta mówi prawie swobodnie, jedynie z pewnemi złagodzeniami, o swoich zmysłach, o życiu do jakiego ją popchnęły, aby później przeczyć wszystkiemu temu z całą energią wobec tego samego człowieka, z chwilą gdy uczuła że jest o nią zazdrosny i że ją śledzi. Mężczyzna żałuje wręcz niekiedy czasów owych pierwszych zwierzeń, mimo że ich wspomnienie go dręczy. Gdyby kobieta jeszcze mu się tak zwierzała, sama niemal zdradziłaby przed nim tajemnicę błędów, za którą on się upędza co dnia nadaremnie. I jakiejż szczerości byłoby to dowodem, jakiej ufności, przyjaźni! Jeżeli nie może go nie zdradzać, zdradzałaby go bodaj po przyjacielsku, zwierzając mu swoje rozkosze, dzieląc się nimi. I mężczyzna żałuje takiego życia, które początek ich miłości zdawał się szkicować, które dalszy ciąg uniemożliwił, czyniąc z tej miłości coś okrutnie bolesnego, coś co uczyni zerwanie – rozmaicie – albo nieuniknionem albo niemożliwym.

Czasami pismo, w którym odcyfrowywałem kłamstwa Albertyny, nie będąc niczem ideograficznym, wymagało jedynie tego aby je czytać nawspak. W ten sposób, owego wieczora rzuciła mi niedbale słowa, przeznaczone na to aby przeszły prawie niepostrzeżone: „Możliwe jest, że jutro zajdę do Verdurinów; ale wcale nie jestem pewna, nie mam zbytnej ochoty”. Był to naiwny anagram tego wyznania: „Pójdę jutro do Verdurinów, pójdę niezawodnie, bo mi bardzo na tem zależy”. Ten pozór wahania oznaczał zdecydowaną wolę i miał na celu zmniejszyć wagę wizyty, przy równoczesnem oznajmieniu mi o niej. Albertyna używała zawsze tonu powątpiewania dla nieodwołalnych postanowień. Moja decyzja była nie mniej stanowcza: postarałem się, aby wizyta u Verdurinów nie doszła do skutku. Zazdrość bywa często jedynie niespokojną potrzebą tyranji, zastosowaną do spraw miłości. Odziedziczyłem zapewne po ojcu tę nagłą tyrańską ochotę dosięgania najdroższych mi istot w nadziejach, których kruchości chciałem im dowieść; kiedym widział że Albertyna skombinowała bez mojej wiedzy, w sekrecie, rozrywkę, którą byłbym jej ułatwił i umilił z całego serca gdyby mi się z nią zwierzyła, oświadczyłem niedbale, dla pogńębienia jej, że zamierzam gdzieś się z nią wybrać tego właśnie dnia.

Zacząłem podsuwać Albertynie jakieś spacerki, któreby uniemożliwiły wizytę u Verdurinów; czyniłem to z udaną obojętnością, pod którą starałem się ukryć moje zdenerwowanie. Ale ona wyczuła je. Spotykało się u Albertyny z elektryczną siłą przeciwną woli, która odpychała je żywo; widziałem iskry tryskające z jej oczu. Zresztą poco mówić o tem, co wyrażały w tej chwili jej źrenice? Jak mogłem nie zauważyć oddawna, że oczy Albertyny są z rodziny tych, które nawet u przeciętnej istoty zdają się sporządzone z wielu kawałków, z powodu wszystkich miejsc, w których ta istota chce się znaleźć danego dnia i ukryć że się chce tam znaleźć. Oczy, naskutek kłamstwa wciąż nieruchome i bierne, ale dynamiczne, wymierne ilością metrów lub kilometrów koniecznych do przebycia aby się znaleźć na pożądaną, nieubłaganie pożądaną schadzce; oczy, mniej jeszcze uśmiechające się do wabiącej je rozkoszy, ile przelśnione smutkiem i zniechęceniem że wyłoni się może jaka przeszkoda. Nawet będąc w naszych rękach, istoty te są nieujęte. Aby zrozumieć wzruszenia które nam dają, a których nie dają inne, nawet piękniejsze, trzeba brać w rachubę, że one nie są nieruchome, ale w ruchu, i trzeba dodać do ich osoby znak oznaczający w fizyce szybkość. Jeżeli zamącisz ich

program, wyznają ci rozrywkę, którą przed tobą tańczy. „Tak chciałam być na podwieczorku u kogoś kogo bardzo lubię”. Otóż, jeżeli po pół roku zdołasz poznać ową osobę, dowiesz się, że nigdy twoja przyjaciółka, której projekty niegdyś zmaciłeś, która zaskoczona, chcąc uzyskać swobodę ruchu, przyznała ci się, że codzień w porze, w którejś jej nie widywał, wyprawiają sobie z tą ulubioną osobą podwieczorek we dwójkę, dowiesz się że w istocie nigdy u niej nie była i że mówiła jej iż jest bardzo zaakaparovana – przez ciebie. Tak więc, osoba, u której nibyto – jak się przyznała sama – bywała na podwieczorku – i błagała cię, żebyś jej pozwolił iść do niej – ta osoba, ten powód wyznany z musu, to była nie ta, to była inna, to było jeszcze coś innego! Coś innego, ale co? Inna, ale kto?

Niestety, te cząstkowe oczy, biegnące w dal i smutne, pozwoliłyby może zmierzyć odległość, ale nie wskazują kierunku. Rozpościera się nieskończone pole możliwości, a gdyby przypadkowo zjawiała się przed nami istotna rzeczywistość, byłaby czemś tak poza wszelkimi możliwościami, że padlibyśmy na wznak oszołomieni, uderzając głową o wyrastającą ścianę. Nie jest nawet konieczne stwierdzenie ruchu i ucieczki, wystarczy że je wywnioskujemy. Przynęła nam list, byliśmy spokojni, nie kochaliśmy już. List nie przyszedł, nie przychodzi, co się dzieje? – odradza się niepokój i miłość. Takie istoty zwłaszcza budzą w nas miłość, na nasze nieszczęście. Bo każdy nowy niepokój, jaki odczuwamy przez nie, ujmuje w naszych oczach coś z ich osobowości. Byliśmy zrezygnowani na cierpienie, sądząc że kochamy kogoś zewnątrz nas; i oto spostrzegamy, że miłość nasza jest funkcją naszego smutku, że jest może poprostu naszym smutkiem i że przedmiotem jej jest jedynie w skromnej mierze czarnowłosa dziewczyna. Ale cóż, zwłaszcza takie istoty budzą miłość.

Najczęściej, przedmiotem miłości nie jest ciało, chyba że się w nim stopi wzruszenie, obawa stracenia go, niepewność posiadania. Otóż, ten rodzaj niepokoju czepia się zwłaszcza ciała. Przydaje mu coś, co jest więcej niż piękność; oto jedna z przyczyn, dla której mężczyźni obojętni na najpiękniejsze kobiety mogą namiętnie kochać inne, dla nas brzydkie. Tym właśnie istotom wymykającym się, natura ich, nasz niepokój, przygotowują skrzydła. I nawet gdy są przy nas, spojrzenie ich zdaje się mówić że ulecą. Dowodem tej nadpiękności której użyczają skrzydła, jest fakt, że często ta sama istota jest dla nas naprzemian bez skrzydeł i skrzydlata. Kiedy boimy się ją stracić, zapominamy o wszystkich innych. Kiedy jesteśmy pewni jej posiadania, porównujemy ją z owymi innymi, dając im natychmiast pierwszeństwo. Że zaś te wzruszenia i ten spokój mogą się zmieniać z tygodnia na tydzień, możemy dla tej istoty poświęcić w danym tygodniu wszystko co nam było miłe, a w następnym tygodniu poświęcić ją samą, i tak dalej, przez bardzo długi czas. To byłoby niepojęte, gdybyśmy nie wiedzieli z doświadczenia (jak każdy mężczyzna, który w życiu bodaj raz przestał kochać, zapomniał), jak mało czem jest taka istota sama w sobie, kiedy nie jest już lub nie jest jeszcze przepuszczalna dla naszych wzruszeń. I oczywiście jeżeli mówimy: „istoty wymykające się” odnosi się to tak samo do istot w więzieniu, do kobiet niewolnych, o których posiadaniu zwątpimy. Toteż mężczyźni nienawidzą rajfurek, bo one ułatwiają ucieczkę, migocą pokusą; kochając natomiast kobietę zamkniętą, uciekają się chętnie do rajfurek, aby taką kobietę wyrwały z więzienia i przywiodły ku nam. I jeżeli związki z kobietami wykradzionymi są mniej trwałe od innych, to dlatego że niepewność zdobycia ich lub obawa ich ucieczki stanowi całą naszą miłość, i że, skoro je raz zabierzemy mężowi, wyrwiemy je z ich teatru, skoro je wyleczymy z pokusy rzucenia nas, słowem skoro je wyodrębnimy od jakiegokolwiek naszego wzruszenia, pozostają tylko sobą, to znaczy prawie niczem. I rychło rzuci je ten, który ich tak długo pragnął, który się tak bardzo bał że one go rzucą.

Powiedziałem: „jak mogłem nie zgadnąć?” Ale czyż ja nie zgadłem tego w Balbec od pierwszego dnia? Czyż nie odgadłem w Albertynie jednej z owych dziewczyn, pod których cielesną powłoką pulsuje więcej ukrytych istot – może nie więcej niż w nierozpieczętowanej jeszcze talii kart, niż w jakiejś katedrze lub w teatrze zanim się do nich wejdzie ale więcej – niż w olbrzymim i wciąż nowym tłumie. Nie tylko *tylko istot*, ale pragnienie, rozkoszna pamięć, niespokojne szukanie tylu istot. W Balbec nie byłem wzruszony, bom nie przypuszczał nawet, iż pewnego dnia znajdę się na tropie, choćby fałszywym. Ale i tak dało to Albertynie wobec mnie pełnię istoty wypełnionej do dna

warstwami tyłu istot, pragnień, tyłu wspomnień rozkoszy. I teraz, kiedy pewnego dnia powiedziała mi: „panna Vinteuil”, byłbym chciał nie zerwać suknię aby ujrzeć jej ciało, ale poprzez ciało ujrzeć cały ów notatnik jej wspomnień i jej bliskich i namiętych schadzek.

Jak dalece rzeczy zapewne najbłahsze nabierają nagle nadzwyczajnej wartości, kiedy istota, którą kochamy (lub której brakowało jedynie tej dwulicowości abyśmy ją pokochali) ukrywa je nam! Samo w sobie, cierpienie nie koniecznie rodzi w nas uczucia miłości lub nienawiści dla osoby która je powoduje; chirurg zadający ból pozostaje nam obojętny. Ale kiedy kobieta mówiła nam jakiś czas, że jesteśmy dla niej wszystkim, przyczem ona sama nie była wszystkim dla nas; kobieta którą lubimy widzieć, całować, trzymać na kolanach, wówczas dziwimy się, czując po nagłym oporze, że nie rozporządzamy nią dowoli. Zawód budzi w nas wówczas czasami zapomniane uczucie dawnego niepokoju, o którym jednak wiemy, że go zbudziła nie ta kobieta, lecz inne, których zdrady piętrzą się w naszej przeszłości; zresztą jak mieć odwagę aby żyć, jak zrobić ruch aby się uchronić od śmierci, w świecie gdzie miłość rodzi się tylko z kłamstwa, a polega tylko na potrzebie ukojenia naszych cierpień przez istotę która nam je zadała? Na to aby wyjść z przygnębienia jakie w nas budzi odkrycie tego kłamstwa i tego oporu, smutnem lekarstwem jest starać się oddziaływać na tę co się nam opiera i która nam kłamie; oddziaływać na nią mimo jej woli, za pomocą istot więcej – czujemy to – zajmujących miejsca w jej życiu niż my sami; kłamać, kręcić, zohydzić się w jej oczach. Ale męka takiej miłości jest z tych, które sprawiają nieodparcie, że chory w zmianie pozycji szuka złudnej poprawy.

Na tych sposobach działania nie zbywa nam, niestety! I okropność takiej miłości, zrodzonej jedynie z niepokoju, płynie stąd, że bez przerwy rozważamy i obracamy w klatce nieznaczące słowa; co więcej, istoty budzące w nas tę miłość, bardzo rzadko podobają się nam fizycznie w złożony sposób: wyboru dokonywa nie nasz świadomy smak, ale przypadkowa minuta niepokoju, minuta nieograniczenie przedłużona słabością naszego charakteru, powtarzającą co wieczór próby i zniżającą się do środków uśmierających.

Bezwątpienia, miłość moja do Albertyny nie była najuboższa wśród tych do których z braku woli można się osunąć, bo nie była całkowicie platoniczna; Albertyna dawała mi rozkosz fizyczną, a przytem była inteligentna. Ale wszystko to było tylko nadpłodnienie. Zaprzętała mnie nie jej inteligencja, ale jakieś słówko rzucające nagle dwuznaczny cień na jej postęпки; próbowałem sobie przypomnieć, czy ona powiedziała to czy owo, jakim tonem, w jakiej chwili, w odpowiedzi na jakie słowa; siliłem się odtworzyć sobie cały dialog; kiedy ściśle objawiła chęć wizyty u Verdurinów i które z moich słów sprawiło że się zachmurzyła. Gdyby chodziło o najważniejszy fakt, nie zadałbym sobie tyle trudu aby ustalić jego autentyczność, odtworzyć jego atmosferę i barwę. Bezwątpienia, takie niepokoje, osiągnąwszy stopień w którym stają się czemś nie do zniesienia, dadzą się niekiedy całkowicie uśmierzyć na jeden wieczór. Zaproszono i nas na zabawę, na którą nasza ukochana wybiera się i nad której prawdziwym sensem głowiliśmy się od wielu dni; kochanka uśmiecha się tylko do nas, rozmawia tylko z nami; odprowadzamy ją do domu, i wówczas, zbywszy się obaw, kosztujemy spokoju równie kompletnego i krzepiącego, jak ten którego zażywamy czasem w głębokim śnie po długim spacerze. I bez wątpienia, taki spokój wart jest aby go opłacić drogo. Ale czy nie byłoby prostsze nie kupować sobie dobrowolnie, i to jeszcze drożej, owych lęków? Zresztą, wiemy, że choćby te chwilowe odprężenia były najgłębsze, niepokój i tak weźmie górę. Czasami nawet odnawia go jakieś zdanie, którego celem było przynieść nam spokój. Ale najczęściej zmieniamy jedynie niepokój. Któreś słowo z tego zdania, które miało nas uspokoić, pcha nasze podejrzenia na inny tor. Zazdrość nasza i ślepotą większe są niż mogła przypuszczać ta którą kochamy.

Kiedy ona nam przysięga samorzutnie, że dany mężczyzna jest dla niej tylko przyjacielem, przyprawia nas o wstrząs, przyznając – czegośmy nie podejrzewali – że był dla niej przyjacielem. Kiedy nam opowiada – chcąc dowieść swojej szczerości – jak pili razem herbatę jeszcze tego popołudnia, za każdym jej słowem obleka się nam w kształt coś niewidzialnego, niepodajezanego. Wyznaję, że on ją prosił aby mu się oddała, a my cierpimy męki, że ona mogła słuchać

tych propozycji. Odrzuciła je, powiada. Ale za chwilę, przypominając sobie jej opowiadanie, zastanawiamy się, czy ono jest całkiem szczere; między rozmaitymi szczegółami brak nam owego logicznego i koniecznego węzła, który bardziej od faktów jest znamieniem prawdy. A przytem ta jej okropna, wzdarcia intonacja: „Powiedziałam mu, że nie, kategorycznie”, którą ma kobieta wszystkich klas – kiedy kłamie. I trzeba jej jeszcze dziękować za to że odmówiła; dobrocią swoją zachęcać ją na przyszłość do ponowienia tak okrutnych zwierzeń. Co najwyżej czynimy uwagę: „Ale jeżeli ci już robił takie propozycje, czemu zgodziłaś się iść z nim na herbatę? – Żeby nie miał do mnie pretensyj i nie mógł mówić że nie jestem dobra dla niego”. A my nie śmiemy odpowiedzieć, że odmawiając, byłaby może lepsza dla nas...

Zresztą Albertyna przerażała mnie, powiadając że dobrze robię, kiedy, aby jej nie szkodzić, mówię że nie jestem jej kochankiem; ostatecznie – dodawała – „to szczerą prawdą, nie jesteś”. Istotnie, nie byłem może całkowicie, ale czyż w takim razie miałem sądzić, że wszystko to cośmy robili z sobą, ona robi z każdym o którym mi przysięga, że nigdy nie był jej kochankiem? Jakże to dziwne, wszystko poświęcać dla tego, aby, za wszelką cenę, dowiedzieć się co Albertyna myśli, kogo widuje, kogo kocha, skoro niegdyś wobec Gilberty doznawałem tej samej potrzeby wiedzenia imion, faktów, tak mi dziś obojętnych. Zdawałem sobie sprawę, że same w sobie postęпки Albertyny nie więcej mają wagi. Ciekawe jest, że o ile pierwsze uczucie, rozpulchniając niejako nasze serce, toruje drogę następnym miłościom, nie daje nam – mimo tożsamości objawów i cierpień – sposobu uleczenia ich.

Zresztą, czy potrzeba znać jakiś fakt? Czy nie poznaje się odrazu w nieuchwytny sposób kłamstwa a nawet dyskrecji kobiet, które coś ukrywają? Czy tu jest możliwość omyłki? Milczą uparcie, wówczas gdy mybyśmy je tak chcieli pociągnąć za język. I czujemy, że swojemu współnikowi powiedziały: „Nie mówię nigdy nic. Odemnie z pewnością nikt się nie dowie niczego; nie mówię nigdy nic”. Dajemy swój majątek, życie za jakąś istotę, a przecież wiemy, że za dziesięć lat, trochę wcześniej lub później, odmówilibyśmy jej tego majątku, wolelibyśmy zachować życie. Bo wówczas ta istota byłaby oderwana od nas, sama, to znaczy żadna.

Z daną istotą wiążą nas owe tysiącne korzenie, niezliczone nici usnute ze wspomnień wczorajszego wieczora, nadziei jutrzejszego ranka, nieprzerwana sieć nawyków, z której nie możemy się wyplątać. Tak samo jak są skąpcy, którzy gromadzą przez szczodrość, tak my jesteśmy rozrzutnicy którzy wydają przez skąpstwo; poświęcamy życie nietyle jakiejś istocie, ile wszystkiemu temu, co ona zdołała osnuć dokoła siebie z naszych godzin, z naszych dni; temu przy czem życie jeszcze nie przeżyte, życie stosunkowo przyszłe, wydaje się nam czemś dalszem, bardziej oderwanem, mniej użytecznem, mniej naszym. Trzeba by się nam wyzwolić z tych więzów, o ileż ważniejszych niż sama osoba, przez to iż stwarzają w nas wobec niej chwilowe obowiązki. Obowiązki te sprawiają, że nie śmiemy jej opuścić z obawy stracenia w jej oczach, podczas gdy później nie wahałoby się tego uczynić, bo osoba ta odłączona od nas nie byłaby już nami, w istocie zaś jedynie wobec siebie samych stwarzamy sobie obowiązki – choćby, przez pozorną sprzeczność, miały nas przywieść w końcu do samobójstwa.

Jeżeli nie kochałem Albertyny (czego nie byłem pewny), miejsce jej w moim życiu nie było niczem nadzwyczajnem: żyjemy jedynie z istotami których nie kochamy, które sprzęgliśmy z sobą wyłącznie poto aby zabić nieznośną miłość, czy chodzi o kobietę, czy o krainę, czy wreszcie o kobietę zawierającą jakąś krainę. Baliśmy się nawet, że zacniemy znów ją kochać, w razie nowej rozłąki. Nie doszedłem z Albertyną do tego punktu. Jej kłamstwa, jej wyznania, zmuszały mnie do dalszych poszukiwań prawdy: kłamstwa jej tak liczne dlatego, że nie poprzestawała na kłamaniu jak wszelka istota która się czuje kochaną, ale że z natury była kłamliwa, a przytem tak zmienna, że nawet mówiąc za każdym razem prawdę (naprzykład co myśli o ludziach), powiedziała mi za każdym razem coś innego; wyznania jej, przez to że tak rzadkie, tak hamowane, zostawiały między sobą – w tem co tyczyło przeszłości – wielkie białe luki, na których przestrzeni trzeba mi było wykreślić jej życie, a w tym celu najpierw trzeba by je poznać.

Co się tyczy terazniejszości (o ile mogłem interpretować sybilińskie słowa Franciszki), Albertyna okłamywała mnie już nie w poszczególnych punktach, ale w całości: „ujrzę pewnego pięknego dnia wszystko” co Franciszka rzekomo wiedziała, czego nie chciała mi powiedzieć, o co nie śmiałem jej pytać. Zresztą – z pewnością przez tę samą zazdrość, jaką niegdyś ścięła Eulaję – Franciszka mówiła rzeczy najmniej prawdopodobne, tak mętne, że można w nich było conajwyżej odgadnąć jakąś niewiarygodną insynuację, że np. biedna branka (amatorka kobiet) miała na oku jakieś małżeństwo, ale z kimś kto nie koniecznie musiał być mną. Gdyby tak było, skąd Franciszka, mimo swojej radiotelepatji, wiedziałaby o tem? Oczywiście, opowiadania Albertyny nie mogą rozstrzygnąć tej zagadki, bo były co dnia tak sprzeczne jak kolory bąka kończącego się kręcić. Widoczne zresztą było, że to nienawiść przemawia przez Franciszkę. Nie było dnia, żeby mi nie mówiła czegoś w tym sensie i żebym w nieobecności matki nie znosił takich np. aluzyj:

„Niema co, panicz jest poczciwy, nie zapomnę nigdy wdzięczności, jaką paniczowi jestem winna (Franciszka mówiła tak zapewne poto, żeby mnie zachęcić do kupienia sobie praw do tej wdzięczności), ale dom jest zapowietrzony od czasu jak dobroć pańska wpuściła tutaj łajdactwo, jak sama inteligencja popiera osobę najgłupszą jaką w świecie widziano; jak rozum, manieri, dowcip, godność, mina i charakter prawdziwego książątka dają nad sobą przewodzić najplugawszemu i najpospolitszemu łajdactwu, pozwalają sobie kołki ciosać na głowie i upokarzać mnie, mnie co jestem od czterdziestu lat w rodzinie...”

Franciszka była wściekła na Albertynę, zwłaszcza oto, że jej, Franciszce, ma rozkazywać ktoś poza jej państwem; także o nadwyżkę domowej roboty, o zmęczenie od którego cierpiało zdrowie naszej starej służącej. Mimo to, nie chciała przyjąć żadnej pomocy; „nie jest (mówiła) do niczego”. Wystarczyłoby to, aby wytłumaczyć jej zdenerwowanie, wybuchy nienawiści. Z pewnością pragnęłaby wygnania Albertyny – Estery. To było życzenie Franciszki. Ta pociecha byłaby już dla starej służącej odpoczynkiem. Ale, mojem zdaniem, grało tu rolę nietylko to. Taka nienawiść mogła się zrodzić jedynie w przemęczonem ciele. I bardziej jeszcze niż względów, Franciszka potrzebowała snu.

Albertyna poszła się rozebrać, ja zaś, aby coś przedsięwziąć, spróbowałem zatelefonować do Anny; chwyciłem słuchawkę, wezwałem nieubłagane bóstwa, ale jedynie podnieciłem ich wściekłość, wyrażającą się słowem: „Zajęte”. W istocie, Anna rozmawiała z kimś. Czekać aż skończy, zastanawiałem się, czem się dzieje (gdy tyłu malarzy stara się wskrzesić portrety kobiece z XVIII wieku, gdzie pomysłowe *mise en scène* jest pretekstem do minek oczekiwania, dąsu, ciekawości, marzenia), że żaden z naszych nowoczesnych Boucherów lub Fragonardów nie odmalował, zamiast „listu”, „klawikordu” etc., sceny, która mogłaby się nazywać: „Przy telefonie” i w której na wargach słuchającej zakwitłby bezwiednie uśmiech tem prawdziwszy że nie widziany.

Wreszcie, Anna usłyszała mnie: „Czy wstąpisz po Albertynę jutro?” – rzekłem; przyczem, wymawiając imię Albertyny, przypomniałem sobie zazdrość, jaką wzbudził we mnie Swann, mówiąc swego czasu na owym raucie u księżnej Marji: „Niech pan zajdzie do Odety”. Pomyślałem wówczas, ile siły tkwi, mimo wszystko, w imieniu, które w oczach całego świata i samej Odety miało jedynie w ustach Swanna ów sens absolutnie „dziejawczy”.

Jakże takie – streszczone w jednym wyrazie położenie ręki na całej egzystencji wydawało mi się słodkie, za każdym razem kiedy byłem zakochany! Ale w rzeczywistości, kiedy można to uczynić, albo się to już stało obojętne, albo też przyzwyczajenie, nie niweczając czułości, zmieniło jej słodycze w cierpienie. Kłamstwo to drobiazg, żyjemy pośród niego uśmiechając się zeń tylko; uprawiamy je bez poczucia wyrządzonej komukolwiek krzywdy; ale zazdrość cierpi od kłamstwa i widzi więcej niż ono ukrywa (często kochanka odmawia spędzenia z nami wieczoru i idzie sama do teatru pro prostu dlatego, żebyśmy nie widzieli że źle wygląda). Jak często zazdrość pozostaje ślepa na to co kryje prawda! Ale nie może nic uzyskać, bo te co przysięgają że nie kłamią, wzdragałyby się wyznać prawdy, bodaj pod gilotyną. Wiedziałem, że ja jeden, mówiąc do Anny, mogę powiedzieć

w ten sposób: „Albertyna”. A przecież czułem że jestem niczem dla Albertyny, dla Anny, dla siebie samego. I rozumiałem niemożliwość, o jaką się obija miłość.

Wyobrażamy sobie, że jej przedmiotem jest istota, która może leżeć koło nas, zamknięta w ciele. Niestety! miłość jest rozpostarciem tej istoty na wszystkie punkty przestrzeni i czasu, jakie ta istota zajmowała i zajmować będzie. Jeżeli nie posiadamy jej kontaktu z danym miejscem, z daną godziną, nie posiadamy jej samej. Otóż, nie możemy dosięgnąć wszystkich tych punktów. Gdybyż jeszcze ktoś nam je wskazał, zdołalibyśmy może dociągnąć się do nich. Ale szukamy poomacku, nie znajdując ich. Stąd nieufność, zazdrość, prześladowania. Tracimy drogi czas na niedorzecznym tropie i przechodzimy obok prawdy nie domyślając się jej.

Ale już jedno z gniewliwych bóstw, rozkazujących zawrotnie zwinnym służebnicom, pogniewało się już nie o to że rozmawiam, ale że nic nie mówię. „Proszę pana, numer jest wolny, już od dawna ma pan połączenie, rozłączę pana”. Ale nie zrobiła tego i, wywołując obecność Anny, spowiła ją – jak wielki poeta, którym zawsze jest telefonistka – atmosferą swoistą dla mieszkania, dzielnicy, nawet dla życia Anny. „To ty? – rzekła Anna, której głos rzuciła mi zawrotnie szybko bogini, mająca władzę dawania dźwiękom chyżości błyskawicy. – Słuchaj, odparłem; jedźcie gdzie chcecie, mniejsza o to gdzie, wyjąwszy do pani Verdurin. Trzeba za wszelką cenę odciągnąć Albertynę. – Ale... bo ona właśnie wybiera się tam jutro. – A!”.

Ale musiałem przerwać na chwilę i wykonać groźne gesty, bo o ile Franciszka wciąż – tak jakby to było coś równie przykrego jak szczerzenie ospy i równie niebezpiecznego jak samolot – wzdragała się nauczyć telefonować, coby nas uwolniło od trudu połączeń (mogłaby je doskonale załatwiać), w zamian za to wchodziła natychmiast do mego pokoju, ilekroć miałem poufną rozmowę, którą specjalnie chciałem przed nią utaić. Wyszła wreszcie, długo zabawiając się zbieraniem rozmaitych przedmiotów, które leżały od wczoraj i mogły bezpiecznie zostać jeszcze godzinę, i dorzucając do ognia polano, bardzo zbyteczne wobec gorąca jakim mnie przenikała obecność intruza i obawa że mnie telefonistka rozłączy.

– Daruj – rzekłem do Anny – ktoś mi przeszkodził. Czy to całkiem pewne, że ona się wybiera jutro do Verdurinów?

– Absolutnie pewne, ale mogę jej powiedzieć, że sobie tego nie życzysz.

– Nie, przeciwnie, możebne jest, że ja się wybiorę z wami.

– A! – rzekła Anna z wyraźnym niezadowoleniem i jakby przestraszona moją odwagą, w której mnie zresztą tylko umocniła.

– Zatem, do widzenia, przepraszam, że cię napróżno trudziłem.

– Ale nie – rzekła Anna i dodała (w miarę rozpowszechnienia telefonu, rozwinął się dokoła niego ornament specjalnych frazesów, jak niegdyś koło „herbaty”): „Bardzo mi było miło usłyszeć twój głos”.

Mogłem powiedzieć to samo, i szczerzej niż Anna, bo od jakiegoś czasu byłem nader czuły na jej głos, nie zauważywszy wprzód że jest tak różny od innych. Wówczas przypominałem sobie jeszcze inne głosy, głosy kobiet zwłaszcza, jedne zwolnione precyzją pytania i napięciem uwagi, drugie zdyszane, nawet przerywane liryczną falą opowiadania; przypominałem sobie kolejno głosy każdej ze znajomych dziewcząt w Balbec; potem głos Gilberty, potem głos babki, potem pani de Guermantes; wydały mi się wszystkie odmienne, zestrojone z językiem każdej, grające na odmiennym instrumencie; i pomyślałem jaki chudy koncertik muszą dawać w niebie trzy lub cztery muzykujące anioły z obrazów dawnych mistrzów, kiedym widział wznoszące się do Boga, dziesiątkami, setkami, tysiącami, harmonijne i wielodźwięczne pozdrowienie wszystkich Głosów. Zanim opuściłem telefon, podziękowałem w paru dobranych słowach tej co włada chyżością dźwięków, iż zechciała użyć, na rzecz moich skromnych słów, władzy, czyniącej je sto razy szybszemi od grzmotu; ale moje dzięki nie doczekały się innej odpowiedzi niż przerwanie połączenia.

Kiedy Albertyna wróciła, miała na sobie czarną atlasową suknię, która podkreśliła jeszcze jej bladość, czyniąc z niej chlorotyczną i zgorączkowaną paryżankę, wypompowaną brakiem powietrza,

atmosferą tłumów i może nałogiem grzechu. Oczy jej zdawały się bardziej niespokojne, bo ich nie poweselała różowość policzków.

– Zgadnij – rzekłem – do kogo telefonowałem. Do Anny.

– Do Anny! – wykrzyknęła Albertyna, zdziwiona, podniecona, tonem nie harmonizującym z tak prostą wiadomością. – Mam nadzieję, iż nie zapomniła ci powiedzieć, żeśmy spotkały kiedyś panią Verdurin.

– Panią Verdurin? Nie przypominam sobie – odparłem z miną taką jakbym myślał o czym innym, chcąc się okazać obojętny na to spotkanie i nie zdradzić Anny, że się wygadała z tem dokąd Albertyna wybiera się jutro.

Ale kto wie, czy Anna mnie nie zdradza? Może jutro opowie Albertynie, że ją prosił, aby jej nie puściła za żadną cenę do Verdurinów? Kto wie, może jej już wyznała, że to nie było pierwsze podobne zlecenie z mojej strony. Zaręczała mi, że niczego nie powtarza nigdy, ale zakłęciu temu przeczył fakt, że od jakiegoś czasu z twarzy Albertyny znikła ufność, jaką mnie darzyła tak długo. Ciekawe jest, że już na kilka dni przed tem niezrozumieniem, miałem z Albertyną inną sprzeczkę, ale w obecności Anny. Otóż, Anna, dając dobre rady Albertynie, zawsze robiła wrażenie że jej podsuwa złe myśli. „Słuchaj, nie mów w ten sposób, przestań” – mówiła jakby upojona szczęściem. Twarz jej przybierała suchy malinowy odcień, typowy dla gospodyń-dewotek, wygryzających kolejno wszystkie służące. Podczas gdy ja obsypywałem Albertynę pożałowania godnymi wymówkami, Anna robiła wrażenie, że ssie z rozkoszą cukier lodowaty. Wkońcu nie mogła powstrzymać tkliwego śmiechu. „Chodź, Titinko, do mnie. Ty wiesz, że ja jestem twoja kochana siostrzyczka”. Nietylko mnie drażniło to słodkawe lepienie się, ale zastanawiałem się, czy Anna ma naprawdę dla Albertyny przyjaźń, o której tyle mówi. Ponieważ Albertyna, która znała Annę gruntowniej odemnie, stale wzruszała ramionami, kiedym pytał, czy jest pewna uczuć Anny i odpowiadała zawsze, że nikt na świecie tak jej nie kocha, pewien jestem jeszcze teraz, że przywiązanie Anny było szczere. Może w jej zamożnej ale prowincjonalnej rodzinie znalazłoby się odpowiednik tego w pewnych sklepach na Placu biskupim, gdzie niektóre słodyczne uchodzą za „co tylko może być najlepszego”. Ale co do mnie (mimo iż zawsze dochodziłem do przeciwnej konkluzji), tak dalece miałem wrażenie iż Anna stara się upokorzyć przyjaciółkę, że natychmiast brałem w duchu stronę Albertyny i gniew mój opadał.

Cierpienie w miłości ustaje chwilami, ale poto aby się zacząć na nowo inaczej. Bolejemy, widząc, że ukochana nie ma już dla nas owych wybuchów sympatii, miłosnych zrywów, jakie miała z początku; bardziej jeszcze nas boli, że straciwszy je wobec nas, odzyskuje je dla innych; potem od tego cierpienia odrywa nas nowa, okrutniejsza męka: podejrzenie, że nas okłamała co do wczorajszego wieczoru, że nas z pewnością zdradziła. To podejrzenie również się rozprasza; czułość kochanki uspokaja nas, ale wówczas wraca jakieś zapomniane słówko; powiedział nam ktoś, że ona ma „szalony temperament”, a myśmy ją znali raczej chłodną; próbujemy sobie wyobrazić, czym były owe szaty z innymi; czujemy jak mało znaczymy dla niej, spostrzegamy wyraz nudy, nostalgji, smutku, jaki ma w naszym towarzystwie; zauważamy (nakształt pochmurnego nieba) nieświeże suknie, które kładzie dla nas, zachowując dla innych toalety, którymi w początkach chciała nas czarować. Wzamian jeżeli jest czuła, co za radość! ale widząc ten jęczyczek wysuwający się niby wezwanie, myślimy o kobietach, do których to wezwanie zwracało się tak często... Może nawet kiedy jest ze mną i nie myśli o nich, gest ten – rezultat przyzwyczajenia – pozostał czemś machinalnym? I wraca uczucie, że ją nudzimy. Ale nagle cierpienie to staje się czemś bardzo drobnym, na myśl o złowrogim sekrecie jej życia, o niezbadanych miejscach w których była, w których jest może jeszcze w godzinach gdy nie jest z nami, jeżeli nawet nie zamierza umknąć tam na stałe; o miejscach gdzie jest daleka od nas, nie nasza, szczęśliwsza niż z nami. Na takim wolnym ogniu obraca nas zazdrość.

Zazdrość jest zarazem demonem, którego nie można zakłąć; wciąż wraca, wciąż wciela się w nową formę. Gdybyśmy zdołali wytepić je wszystkie, trzymać wciąż przy sobie kochaną istotę, Duch Złego przybrałby wówczas jeszcze inną, patetyczniejszą formę: rozpacz żeśmy zdobyli jej wierność jedynie siłą, rozpacz bez wzajemności.

Między Albertyną a mną była często zaporą milczenia, utworzonego z pewnością z żalów, które tała, bo uważała je za beznadziejne. Mimo iż tak słodka w pewne wieczory, Albertyna nie miała już owych odruchów z Balbec, kiedy mówiła: „Jakiś ty milutki!” i kiedy serce jej zdawało się biec ku mnie bez zastrzeżeń i pretensyj. Teraz kryła je, uważając je z pewnością za nieodwołalne, niepodobne do zapomnienia. Niewyznane, nie mniej kładły one pomiędzy nami znaczącą ostrożność jej słów, lub przestrzeń nieubłaganego milczenia.

– A czy można wiedzieć, pociąg telefonował do Anny?

– Spytać się, czy nie ma nic przeciwko temu, żebym się wybrał z wami do Verdurinów z wizytą, którą im przyrzekam od czasów la Raspèliere.

– Jak zechcesz. Ale uprzedzam cię, że jest dziś straszliwa mgła i jutro z pewnością będzie także. Mówię ci to, bo nie chciałabym żebyś sobie zaszkodził. Pojmujesz, jabym wolała, żebyś poszedł z nami. Zresztą – dodała w zamyśleniu – ja zupełnie nie wiem, czy pójdę do Verdurinów. Byli dla mnie tak uprzejmi, że w istocie powinienym... Po tobie, to są ludzie, którzy jeszcze byli najlepsi dla mnie; ale są drobiazgi, które mnie u nich rażą. Muszę koniecznie wybrać się do Bon Marché albo do Trois-Quartiers kupić biały żabocik, bo ta suknia jest za czarna.

Pozwolić Albertynie iść samej do wielkiego magazynu, pełnego ludzi ocierających się o nią, mającego tyle wyjść, że można potem powiedzieć iż wychodząc nie odnalazło się wehikułu, który czekał trochę dalej – nie! byłem zdecydowany nie pozwolić na to, ale zwłaszcza byłem nieszczęśliwy. A jednak, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że już dawno powinienym przestać widywać Albertynę, bo weszła dla mnie w ów żalorny okres, kiedy istota – rozpylona w czasie i w przestrzeni nie jest już dla nas kobietą, ale szeregiem niewyjaśnionych wydarzeń, szeregiem niepodobnych do rozwiązania zagadnień, morzem które, jak Xerxes, próbujemy pocieszenie chłostać, aby je ukarać za to co pochłoneło. Skoro się zacznie ten okres, klęska nasza jest nieuchronna. Szczęśliwi ci, co pojną to dość wcześnie, aby nie przedłużać bezużytecznej i wyczerpującej walki, ujętej ze wszystkich stron granicami wyobraźni; walki, w której zazdrość szamoce się tak haniebnie, że ten sam człowiek, który niegdyś, za lada spojrzeniem pozostającej wciąż przy nim kobiety skierowaniem przez chwilę do innego, wietrzył miłość, cierpiał istne męki, znosi później żeby wychodziła sama, bodaj z notorycznym kochankiem, woląc tę torturę, przynajmniej znaną, od czegoś niewiadomego! To rzecz nabycia rytmu, który zachowujemy potem z przyzwyczajenia. Nerwowcy, nie zdolni opuścić jednego obiadu, odbywają potem trwające bez końca kuracje w sanatorjach; kobiety niedawno jeszcze lekkie, żyją pokutą. Zazdrośnik, który, aby szpiegować ukochaną, pozbawił się snu, spoczynku, uczuwszy że jej pragnienia, że szeroki i tajemniczy świat, że czas silniejsze są od niego, pozwala kobiecie wychodzić samej, potem podróżować – potem rozstają się. Zazdrość kończy się w ten sposób z braku pokarmu; trwała tak długo jedynie dlatego, że go wciąż żądała. Byłem daleki od tego stanu.

Mogłem teraz swobodnie, ile razy chciałem, odbywać spacer z Albertyną. Powstały dokoła Paryża hangary, będące dla samolotów tem czem porty dla statków. Od dnia kiedy w pobliżu la Raspèliere nawpół mitologiczne spotkanie pilota, którego lot spłoszył mego konia; stało się dla mnie niby obrazem wolności, lubiłem często, o schyłku dnia, obierać lotnisko za cel naszych spacerów. Albertyna zapalona do wszystkich sportów lubiła to. Pociągało nas owo nieustające życie odlotów i przylotów, dające tyle uroku spacerom po przystani, lub bodaj po wybrzeżu, dla tych co kochają morze, oraz wałęsaniu się po lotnisku dla tych co kochają niebo. Co chwila, pośród spoczynku bezwładnych i jakby zakotwiczonych apartów, widzieliśmy któryś, mozolnie ciągniony przez kilku mechaników, tak jak się ściąga z piasku łódź dla amatora morskiej przejażdżki. Potem motor zaczął warczeć, aparat biegł, brał rozmach, potem wznosił się z wolna prostopadle w zeszywniałej, jakby znieruchomiałej ekstazie, zmieniawszy nagle horyzontalną chyżość w majestatyczne i pionowe wniebowstąpienie.

Albertyna nie mogła powściągnąć radości, wypytywała mechaników, którzy teraz, kiedy aparat już uleciał, wracali. Tymczasem pasażer przebył całe kilometry; wielkie czółno, w które wciąż wlepialiśmy oczy, było już w lazurze ledwie dostrzegalnym punktem, który zresztą miał odzyskać

stopniowo swoją materjalność, wielkość, objętość, skoro, z końcem przejażdżki, nadejdzie moment powrotu. I w chwili gdy turysta wyskakiwał na ziemię, z zazdrością patrzyliśmy oboje na tego co w tych samotnych horyzontach zakosztował spokoju i czystości wieczoru. Następnie, bądź z lotniska, bądź – kiedyindziej – z jakiego muzeum lub kościoła, któreśmy wybrali się zwiedzić, wracaliśmy na obiad. Mimo to, nie wracałem uspokojony, tak jak bywało w Balbec po owych rzadszych spacerach, trwających – co mnie przejmowało dumą – całe popołudnie; spacerach, które odcinały się dla mnie później niby klomby kwiatów na życiu Albertyny, niby na pustym niebie, w którego obliczu marzy się z łagodną bezmyślnością. Czas Albertyny nie należał do mnie wówczas w tak wielkich ilościach jak dziś, ale zdawał się bardziej mój, bom liczył jedynie godziny jej życia ze mną, miłość moja cieszyła się niemi jak łaską; obecnie liczyłem tylko godziny, które ona spędzała bezemnie, przyczem zazdrość moja szukała w nich gorączkowo możliwości zdrady.

Otóż – jutro może – Albertyna zapragnie takich godzin! Trzebaby wybrać: przestać cierpieć, albo przestać kochać. Bo miłość, jak w początkach rodzi się z pragnienia, tak później żyje wyłącznie bolesnym niepokojem. Czułem, że część życia Albertyny umyka mi się. Miłość w swojej bolesnej trwodze, jak w szczęściu pragnienia, jest żądaniem wszystkości. Rodzi się, istnieje tylko o tyle, o ile pozostaje coś do zdobywania. Kochamy jedynie to, czego nie posiadamy całkowicie.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.